

**JERRY AHERN**

# **KRUCJATA**

## **4. SKAZANIEC**

**(PRZEŁOŻYŁ: STANISŁAW KONIŃSKI)**

**SCAN-DAL**

**Wszelkie podobieństwo do postaci żywych lub martwych, rzeczywistych miejsc, produktów, firm, organizacji i instytucji jest czysto przypadkowe i niezamierzone.**

*Walterowi - dziękując za wszystko, co było beznadziejnie nieodpowiednie, a mimo to  
znowu się zdarza. Wszystkiego najlepszego.*

## ROZDZIAŁ I

Doktor John Thomas Rourke zakończył pakowanie plecaka i upewnił się, że jest on dobrze umocowany na bagażniku Harleya. Sprawdził jeszcze, czy ogień jest wygaszony i czy czegoś nie zapomniał. Spodziewał się, że przed końcem dnia zabraknie mu benzyny, musiał więc ruszyć ku jednej ze strategicznych cystern paliwowych, której położenie wskazał mu Samuel Chambers, nowy prezydent Stanów Zjednoczonych II.

Upłynął blisko tydzień od czasu, kiedy Rourke opuścił Schron, gdzie uzupełnił ekwipunek i odczekał jeszcze dzień, by Paul Rubenstein mógł przygotować się do podróży. Wyjechał w tym samym dniu, w którym Paul wyruszył na Florydę w poszukiwaniu swych rodziców, być może ocalałych po apokalipsie Nocy Wojny. "Czy to ostatnia wojna światowa?" - zastanawiał się John, patrząc na mglistą, poświatę wokół wschodzącego słońca. Przymocowany do ramy Harleya licznik Geigera wskazywał normalny poziom promieniowania, jednakże mężczyzna był pełen obaw i niepokoju o najbliższych. W czasie tych siedmiu dni poza schronem nie odnalazł żadnego śladu żony ani dzieci - Michaela i Annie.

Zmierzał na wschód sądząc, że Sarah i dzieci z jakiejś przyczyny kierowali się ku wybrzeżu Georgii, może w celu uniknięcia spotkania z bandytami lub Rosjanami. Na tych domniemaniach Rourke opierał wszystkie nadzieje.

Ujął w dłoń colta CAR-15, odłączył trzydziestonabojowy magazynek, sprawdził zamek i usunął uwięziony w komorze pocisk. Następnie napełnił magazynek amunicją i odwodząc kurek, zamocował go na miejscu w otworze.

Pochyliwszy głowę, przerzucił przez plecy półautomat ze składaną kolbą.

Kopnięciem złożył stopkę motocykla i włączył silnik. Jednostajny pomruk maszyny uspokoił Johna.

Wybrał tego Harleya przed wojną, bo czuł, że jest najlepszy. I rzeczywiście, nigdy dotąd go nie zawiódł. Podobnie niezawodny okazał się zegarek Rolex Submariner, karabin i pistolet Detonic oraz sześciocalowy rewolwer Python. Sprawnie działające wyposażenie pomogło mu wyjść cało z wielu opresji.

Spojrzał na przełęcz w dole i podążył wzrokiem za drogą pnącą się od koryta rzeki w górę zbocza.

Czy Rubenstein żyje? Czy odnalazł swoich rodziców? Znajdowali się oni gdzieś na Florydzie, która - podobnie jak pozostała część Stanów Zjednoczonych - należała do

Armageddon, z tym że było tam jeszcze gorzej, gdyż władzę na Półwyspie sprawowali komuniści kubańscy za przyzwoleniem Sowietów, nominalnych zwycięzców wojny. "Sarah, Michael, Annie... Wkrótce - myślał Rourke - będą dorastać." Michael miał prawie siedem lat, Annie - niecałe cztery.

John zapalił motor i ruszył z małej polany, gdzie biwakował w nocy, starając się jechać w pobliżu gór, zanim zbliżył się do Piedmont. Szukał jakiegoś śladu obozowiska, śladu podków zostawionego przez konie, na których Sarah z dziećmi wyjeżdżała z Tennessee, aby go odszukać. Poprawił okulary słoneczne. Ruszył krętym szlakiem zwierząt, który wiódł poza las.

Dojeżdżając do skraju lasu zwolnił, by zlustrować widoczną teraz przełęcz w dole. Postawił kołnierz skórzanej kurtki, osłaniając się przed zimnem. Osobliwe zmiany pór roku również go niepokoiły - według kalendarza było lato.

Słyszał szum wody, ale to nie dlatego zgasił silnik i zaczął nasłuchiwać, wstrzymując w napięciu oddech. Uśmiechnął się. Zapalił jedno ze swoich małych, ciemnych cygar i wyteżył słuch, zaciągając się szarym dymem i wypuszczając go obficie przez nozdrza.

Dobiegł go odgłos serii z karabinów, hałas silników. "Bandyty - pomyślał - na drodze w dole, biegnącej wzdłuż przełęczy". Zsiadł z motoru, zwalniając stopkę i podszedł do krawędzi, z której rozciągał się widok na kanion rzeki. Z futerału pod kurtką wyciągnął lornetkę Bushnella i skierował szkła na drogę poniżej. Zobaczył motocykl z kierowcą pochylonym nisko, a sto lub mniej jardów z tyłu ze dwa tuziny cyklistów. W niewielkiej odległości za nimi sunęło kilka półciężarówek, wypełnionych bandytami. John skupił wzrok na kierowcy motocykla. Była to kobieta. Pęd powietrza rozwiewał jej długie, rude włosy.

Nagle kobieta straciła panowanie nad pojazdem i maszyna wysliznęła się spod niej. Podniosła ją, bandyci byli coraz bliżej. "Pewnie chcą ją zgwałcić, obrabować, a potem zamordować" - pomyślał. Postawiła motocykl i znowu zapuściła silnik. Ścigający byli teraz nie dalej niż trzydzieści jardów za nią. Znów odezwał się ogień karabinu. Wyprowadziła motor na drogę; Rourke widział, jak skurczyła się, kiedy wśród skał odbił się echem wystrzał z pistoletu. Zgarbiła plecy, zachwiała się na motocyklu i pochyliła się jeszcze niżej nad kierownicą. Rourke ustawił dokładniej ostrość. Dziewczyna musiała być ranna. Powiódł wzrokiem wzdłuż drogi. Pościg trwał. Strzelanina nie ustawała ani na chwilę.

Schował lornetkę do futerału. Odbezpieczył i zarepetował karabin.

Powoli wrócił do Harleya, przerzucił prawą nogę przez siodełko i usadowił się na nim, po czym kopnął stopkę.

- Niech to szlag! - zaklął.

Ruszył wśród linii drzew, rozglądając się w poszukiwaniu odpowiedniego zjazdu z przełęczy.

Ścieżka wiodąca do wąwozu była stroma. Rourke kierował maszynę w dół, wlokąc nogi po ziemi. Odgłosy strzałów stawały się coraz głośniejsze, a twarz dziewczyny była teraz wyraźnie widoczna. Kiedy młoda kobieta podniosła głowę i obejrzała się na ścigających, John dostrzegł, że jest piękna.

Rourke wypadł na drogę. Harley podskoczył na kopczyku gliny. Mężczyzna dodał gazu i pochylił się nad maszyną. Dudniący ryk silnika stawał się coraz głośniejszy. John dogonił dziewczynę. Ta przywarła do motocykla. Z tyłu dobiegł huk wystrzałów. Rourke dobył CAR-15, odbezpieczył go i zaczął strzelać, nie oglądając się na ścigających. "Trochę ognia z karabinu może ostudzi ich zapał - myślał Rourke. - Tylko idiota pchałby się pod kule."

Zarzucił karabin z powrotem na ramię i znów dodał gazu. Ruda dziewczyna była teraz mniej niż dziesięć jardów przed nim, jej japoński motocykl zdawał się pracować na pełnych obrotach. John usłyszał serię. "Broń automatyczna" - ocenił i skręcił w lewo. Jechał teraz wzdłuż brzegu rzeki. Dziewczyna przed nim straciła równowagę - motocykl zachybotał się.

Droga z przodu skręcała, mimo to Rourke prowadził Harleya na pełnym gazie, stale zmniejszając odległość między nim a raną dziewczyną. Pięć jardów, cztery, sześć stóp, pięć. Trzy stopy. Był tuż przy niej.

Odsunął w bok karabin i wyciągnął do niej rękę. Dziewczyna popatrzyła na niego. Jej spojrzenie było pełne strachu.

- Chodź! - krzyknął. - Szybko!

Nie zwalniając, w pełnym biegu, pomógł jej przesiąść i na swój motocykl. Z trudem utrzymywał równowagę. W końcu dziewczyna usiadła za nim. W tym samym momencie motocykl dziewczyny osunął się w dół kanionu i po chwili z głośnym pluskiem wpadł do rzeki.

John zmniejszył prędkość i szerokim łukiem wszedł w zakręt. Strzelanina z tyłu wzmogła się. Słyszał ciężki oddech pasażerki. Poczul, jak jej głowa opada bezwładnie na jego plecy.

- Trzymaj się, do cholery! - krzyknął.

## ROZDZIAŁ II

Rourke dodał gazu, oglądając się za siebie, skąd dobiegał terkot broni bandytów. Spojrzał na ostre wzniesienie zbocza przed sobą. Dziewczyna jęczała z bólu.

Balansując poderwał w górę swój wielki motor, przeskoczył garb terenu i znalazł się na wąskim grzbiecie. Skręcił kierownicę w lewo i ruszył wzdłuż grobli. Pościg zbliżał się.

Rourke prowadził motocykl wzdłuż grzbietu, mając za sobą motory i półciężarówkę. Zauważywszy szczególnie stromy zjazd, wiodący z powrotem na drogę, zmniejszył prędkość i zawrócił. Przemknął o niespełna jard przed pierwszą z ciężarówek i oddał dwa szybkie strzały z pistoletu w przednią szybę samochodu. Ciężarówka stoczyła się po zboczu. Za moment rozległ się huk eksplozji. Rourke poczuł na twarzy gorący podmuch. Znowu dodał gazu. Zjeżdżał już na drogę, kiedy usłyszał słaby głos dziewczyny:

- Kim jesteś?

Spojrzał za siebie. Na rozbitą ciężarówkę wpadła inna i nastąpił drugi wybuch. Bandyci jednak nie zrezygnowali. Kule coraz częściej świstały obok Johna i dziewczyny. Droga pięła się teraz pod górę.

Stojący na ciężarówkach mężczyźni i kobiety strzelali ponad kabinami z broni szturmowej. Rourke wyciągnął Detonicsa, odwiódł kurek i czterema strzałami wyeliminował z gry najbliższego motocyklistę.

- Trzymaj się! - zawołał John do kobiety.

Strzały z ciężarówki nie milkły. John dodał gazu i na najwyższych obrotach wjechał do strumienia. Dotarłszy na drugi brzeg, znów chwycił za pistolet. Kolejny przeciwnik ugodzony kulami, wpadł do wody, a jego motocykl rozbił się na wielkim kamieniu leżącym pośrodku strugi. Rourke zawrócił swój pojazd w kierunku drogi.

Jazda w górę była jednak coraz trudniejsza. Dziewczyna traciła siły. Zmęczenie dawało się we znaki i Johnowi. Pościg nadal nie ustawał. Harley wyśliznął się pomiędzy ud mężczyzny. Rourke wstał, wyciągnął pistolet i zabił kolejnych napastników.

- Dalej, chodź! - wrzasnął do dziewczyny, stawiając motocykl. Modlił się w duchu, żeby nie był uszkodzony. Udało mu się jednak zapuścić silnik i ruszył w stronę brzegu rzeki.

Obejrzał się. Jedna z półciężarówek nie wyrobiła zakrętu i stoczyła się w przepaść. Za nim ciągle jechało trzech motocyklistów. Dwie ciężarówki, plujące z przyczep ogniem, powoli zjeżdżały z drogi na pochyłość.

Przyspieszył, oceniając już dystans od brzegu rzeki do przymocowanego tam promu.



Nie miał ochoty na dalszą wymianę ognia.

Odwrócił się i popatrzył na dziewczynę o rudych włosach. Ruszył ku niej szybkim krokiem, aby ją złapać, zanim zwali się przez burtę w nurt wody. Chwycił w samą porę. Była już nieprzytomna, a jej lewe ramię ciągle krwawiło. Przesunął dłonią po jej plecach i znalazł ranę po kuli.

## ROZDZIAŁ III

- Tylko ja umiem jeździć motocyklem, więc sądziłam, że jestem wybrana. Zawsze mówiłam o równości płci, a to była moja wielka szansa. Kiedy rodzice dają ci imię w rodzaju: Sissy, nie można siedzieć beczynnym i być wiecznym niemowlęciem.

Rourke spojrział na dziewczynę, oczy mu się uśmiechały.

- Więc Sissy musiała udowodnić, że nie jest "Sissy"! Dlatego ryzykowałeś?

Dziewczyna skrzywiła się nieco, gdy John sprawdzał bandaż na jej lewym ramieniu, gdzie ugodziła ją kula.

- Mam szczęście... - zaczęła, lecz zaraz syknęła przez zęby, gdy zdjął z niej koc i zajął się raną po prawej stronie klatki piersiowej. - Mam szczęście, że jesteś lekarzem.

- Masz szczęście, że ta kula nie połamala ci żeber. Trafiła cię dokładnie pod kątem prostym, prześliznęła się między drugim i trzecim zębem i tam utkwiała. Za kilka dni będziesz czuła się dobrze. Czas na ten stary dowcip o facecie, który jest ranny w obie ręce. Pyta lekarza: "Mówił pan, że po zdjęciu bandażu będę mógł grać na skrzypcach?" Lekarz potakuje, a facet na to: "Świetnie! Nigdy przedtem nie umiałem grać na skrzypcach!" Nic ci nie będzie...

- Po tym, jak zemdlałam, czy ja... aaa... - zająknęła się dziewczyna.

- Co chciałaś powiedzieć przez to swoje "aaa"? Ale tylko zemdlałaś. Poprowadziłem prom w dół rzeki, zrobiłem około dwudziestu pięciu mil i tutaj usunąłem ci kulę pomiędzy żeber. Potem zdecydowałem, że możemy sobie zrobić mały postój. I oto jesteśmy. - Mężczyzna wskazał nadbrzeżną polanę, półkole jasnozielonych sosen i kilka cedrów po drugiej stronie, za którymi wznosiły się wzgórza.

Nic wtedy nie mówiłam? - zapytała znów dziewczyna. Rourke przyklęknął obok niej. Popatrzył jej w twarz, na której widać było, oprócz ulgi, którą czuła mimo bólu, również niepewność i lek.

- A czego nie powinnaś mówić? - spytał cicho.

- Nie... po prostu...

- Nie sędzę, żeby ci bandyci ścigali cię z innego powodu oprócz tego, że byłaś sama i bezbronna, a oni szczególnie lubią wykorzystywać takie sytuacje. Ale dlaczego mówiłaś, że byłaś jedyną osobą, umiejącą prowadzić motor, i do czego zostałaś wybrana?

- Po prostu... Kilkoro moich przyjaciół. Od początku wojny byliśmy... wysoko w górach i musieliśmy... aaa... - dziewczyna przerwała.

- Jak będziesz następnym razem mówiła "aaa", ostrzeż mnie wcześniej, żebym zdążył wyjąć z apteczki szpatułkę i zbadać ci migdałki - powiedział John.

- Przepraszam. - Uśmiechnęła się. - Chodzi tylko o to... aaa... - roześmiała się, lecz w chwilę później w kącikach oczu pojawiły się łzy, gdy dotknęła opatrunku na klatce piersiowej.

- Zapomniałem ci wspomnieć, że nie powinnaś się śmiać - rzekł powoli Rourke.

- Po prostu obiecałam...

- Aha. - John podał jej wyciągniętą z portfela kartę identyfikacyjną.

- Agent CIA?

- Na emeryturze. Nie sądzę nawet, żeby CIA jeszcze istniała. Chodzi mi tylko o udowodnienie ci, że możesz mi zaufać...

Rourke wyjął swoje małe, ciemne cygareto i przypalił je w ogniu zapalniczki.

- No więc? - zapytał.

- Nazywam się Sissy Wiznewski, właściwie doktor Wiznewski. Jestem pewnego rodzaju geologiem - zaczęła.

- Jakiego rodzaju?

- Sejsmologiem. My, to znaczy dr Jarvus, dr Tanagura, Peter Krebbs i ja, byliśmy obsadą stacji pomiarowej w górach.

- Nie rozumiem.

- Cóż, może o tym nie wiesz - zaczęła znowu - ale tu...

- Wokół znajdują się pęknięcia tektoniczne - wpadł jej w słowo. - Ale napięcie wstrząsów na tym terenie było dotychczas nieznaczące.

- Owszem, to prawda. Dlatego tu byliśmy. Rejestrowaliśmy wstrząsy powierzchni dla porównania z ruchami tektonicznymi w Kalifornii i wzdłuż Zachodniego Wybrzeża. Być może czytałeś albo widziałeś w telewizji coś o tym, jak naukowcy próbują poznać sposoby łagodzenia trzęsień ziemi, zanim ciśnienie między płytami skalnymi staje się tak poważne, że jedna z nich osuwa się i następuje duże trzęsienie ziemi.

- Tak... - powiedział w zadumie, przypatrując się uważnie dziewczynie. Zauważył, że miała zielone oczy. - Więc badacie te ruchy płyt, aby dotrzeć do przyczyny tego, co, poza erą geologiczną, przyczyniło się do stabilności i aby dowiedzieć się, co możecie zdziałać w procesie łagodzenia.

- Tak - przerwała mu. - Aby dowiedzieć się, co moglibyśmy zrobić dla ustabilizowania płyt na Zachodnim Wybrzeżu. Gdybyśmy zbadali rezultat systemu pęknięć, wówczas, być może, potrafilibyśmy znaleźć sposoby likwidacji napięć tektonicznych w tamtym rejonie.

- Dawało to jakieś skutki? - spytał.



które mieliśmy zainstalowane wzdłuż całego wybrzeża, oszalały, kiedy tamtej nocy spadły bomby. Były jednak tak skonstruowane, żeby wytrzymać silne wstrząsy i większość z nich przetrwała. Potem znaleźliśmy nową, stopniowo powiększającą się linię tektoniczną, której nie było tam przed wojną. To może się zdarzyć za kilka dni, ale równie dobrze za kilka godzin. Nastąpi trzęsienie ziemi, jedno z najsilniejszych, jakie kiedykolwiek notowano. Mogą zginąć tysiące ludzi, może miliony. Nie wiem, ile osób tam żyje po rozpoczęciu wojny. Ale wkrótce... - dziewczyna znowu zaszlochała. Rourke zrobił ku niej kilka kroków, po czym przykleknął obok. - Wkrótce będzie trzęsienie ziemi wzdłuż tej nowej linii tektonicznej, które oddzieli Florydę od reszty kontynentu i półwysep obsunie się do morza. Fale wstrząsów rozejdą się po całym wybrzeżu, dotrą również do Zatoki. A cały półwysep zniknie z powierzchni ziemi.

Dziewczyna podniosła na niego wzrok, obracając się niezgrabnie z powodu ran. Rourke ujrzał w jej oczach niemą prośbę. Wziął ją w ramiona, pozwalając jej się wyplakać.

- Tak wielu, tak wielu ludzi... Jezu... - łkała. Rourke przez chwilę patrzył na nią, potem spojrzał Rourke stronę promu. W motocyklu na pokładzie prawie całkiem skończyło się paliwo.

- Paul - szepnął Rourke. - Mój Boże...

Przez jakiś czas John nie przerywał płaczu dziewczyny. "Musi rozładować napięcie. Tyle przecież przeszła..." - pomyślał. Sądził, że niektórzy ludzie, zabici w trzęsieniu San Andreas, które zmiotło Kalifornię, musieli być jej bliscy. A teraz wiedziała, że ma się to powtórzyć. Jeszcze nic o tym nie mówiła, ale Rourke zrozumiał teraz, dlaczego została wysłana przez resztę załogi. Wiedza o grożącej katastrofie zmusiła ich do działania. Rourke zastanawiał się w duchu, czy można by jakoś nakłonić Kubańczyków albo też Rosjan do pomocy w ewakuacji. Z pewnością trzeba powiadomić rząd Stanów Zjednoczonych II. Rourke myślał: ilu mężczyzn, ile kobiet i dzieci przeżyło Noc Wojny i okupację komunistów kubańskich.

John myślał o poszukiwaniu Sarah i dzieci. Choć może znajdą się oni w pobliżu wybrzeża, gdzie wzmagające się fale przyływów będą niosły ostrzeżenie o niebezpieczeństwie. "Przynajmniej będą mieli szansę" - pomyślał Rourke. Ale jego przyjaciel, Paul Rubenstein, prawdopodobnie już teraz przebywał na Florydzie. Jemu nie pozostanie żadna szansa. Rourke zamyślił nad tym młodym człowiekiem. Przed Nocą Wojny nawet nie wiedzieli nawzajem o swoim istnieniu. A potem, w przeciągu kilku godzin po katastrofie odrzutowca, którym podróżowali, John Rourke i Paul Rubenstein - jedyne ocalałe osoby spośród pasażerów i załogi - nawiązali przyjaźń, którą nieśli poprzez dwie trzecie Stanów

Zjednoczonych. Nagle Rourke uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, dlaczego ten nowojorski redaktor czasopisma handlowego najpierw znalazł się w Kanadzie, a potem zmierzał do Atlanty. Rourke pokręcił głową i uśmiechnął się.

Przez chwilę zastanawiał się nad sobą. W życiu poznał niewielu przyjaciół, nigdy nie miał licznych krewnych.

- Przyjaciele... - szepnął do siebie.

Żona, Sarah, nie zawsze była jego przyjacielem - może dlatego przed wojną tak często się kłócili, tracąc cenne godziny, gdy żadne nie chciało wyciągnąć ręki do zgody. "Natalia - to najciekawszy z moich przyjaciół" - pomyślał. Pamiętał ich spotkanie w Teksasie, które w końcu doprowadziło do ostatecznej rozprawy z jej mężem. Rourke zdał sobie sprawę, że być może teraz ta kobieta go nienawidzi. Jedynym jego przyjacielem mógł być teraz Paul Rubenstein.

- Pomogę ci - szeptem powiedział Rourke do dziewczyny, czując na piersi jej głowę i słabnący już szloch. - Możemy popłynąć promem w dół rzeki. Chyba potrafię znaleźć jakiś kontakt w Wywiadzie Wojskowym w Savannah. Spróbujemy zrobić coś, aby pomóc ludziom wydostać się stamtąd, zanim to się zdarzy. Nie wiem, jak wiele jesteśmy w stanie zdziałać, ilu ludzi można ewakuować w jakikolwiek sposób. Ale ty i twoi koledzy mieliście rację. Coś trzeba zrobić. I sądzę, że teraz to zadanie należy do nas.

Dziewczyna podniosła na niego oczy wciąż wilgotne od łez, twarz miała bladą. Rourke skonstatował, że było to spowodowane utratą krwi i szokiem od poniesionych ran. Zastanowił się, jak może wyglądać jego własna twarz. Musiał niezwłocznie rozpocząć poszukiwanie Sarah, Michaela i Annie - jego rodziny. Może Paul był dla niego kimś w rodzaju brata, którego nigdy nie miał. Rourke uśmiechnął się do własnych myśli. Przypomniał sobie, jak kiedyś Sarah mu mówiła, że to zimne wyrachowanie planować własne ocalenie, kiedy inni nie mają na nie szansy. Ich długi spór na temat jego przygotowań do katastrofy i jej optymizmu, co do pokoju światowego, został raz na zawsze zakończony w Noc Wojny, gdy gorzka rzeczywistość udowodniła, że to on miał rację. Ale nigdy nie potrafił przekonać żony co do tego, że przetrwać można tylko samemu. John uświadomił sobie, że do poszukiwań Sarah i dwojga dzieci skłoniła go miłość do nich, jako do najbliższych mu ludzi. Jak do znalezienia Paula Rubensteina nagliła go "interesowna" pogoń za przyjaźnią. Swego ojca pochował Rourke wiele lat temu, niedługo potem - matkę. "Jeśli Noc Wojny nauczyła mnie czegokolwiek - myślał Rourke - to tego, że ludzkie życie jest zbyt cenne, aby o nie walczyć w jego obronie."

## ROZDZIAŁ IV

Sarah Rourke wsparła rękę na brzegu siodła. Klacz Tildie skubała kępę trawy. Oczy Sarah omiotły dolinę pod niewielkim wzgórzem, na którym się zatrzymali. Obejrzała się za siebie. Michael bez trudu utrzymywał się w siodle Sama - dużego, siwego konia jej męża. Uśmiechnęła się do małej Annie, a ona kiwnęła jej ręką. Pokręciła głową, z trudem mogąc uwierzyć, że jej dzieci mogły wytrzymać to, co przeszły. Uważnie przyjrzała się swym dłoniom. Paznokcie były krótko obcięte, a za nimi nabierało się sporo brudu. Zawsze hodowała je długie, nawet wtedy, gdy zajmowała się domem, fermą i dziećmi. "Przynajmniej paznokcie u lewej ręki zachowały się w prawie nienagannym stanie" - pomyślała z uśmiechem. Spojrzała na złotą obrączkę ślubną, zastanawiając się, czy druga do pary tkwi jeszcze wciąż na palcu żywego człowieka. Szepcząc coś cicho do swej klaczy, gdy ta ruszyła, podniosła obie dłonie do karku, by odwiązać z głowy błękitno-białą chustkę. "Czy John jeszcze żyje?" - zadawała sobie pytanie.

Przypomniała sobie farmę Mary Mulliner. Mogła u niej zostać, nawet na zawsze, gdyby chciała; dzieci miałyby wysepkę normalności na świecie, czy raczej na tym, co z niego pozostało. A jednak spakowała juczne torby i płócienny worek, wyczyściła karabin, zabrany kiedyś jednemu z ludzi, którzy chcieli ją zgwałcić i zabić. Musiała przy tym pokazać rudowłosemu synowi Mary, "jak się rozbiera na czynniki pierwsze" - w taki sposób to nazywał - karabin i automatyczny colt, "czterdziestkę piątkę" męża. Tego ranka osiodłała konie. Annie płakała, Michael mówił o tym, jak będzie się opiekował swoją siostrzyczką i mamusią. Było lato, choć trudno było to zgadnąć na podstawie pogody. Oglądając się na dwójkę swoich dzieci, mruknęła do siebie:

- Michael skończy dopiero siedem lat Potrzęsnęła głową z niedowierzaniem. Sześciolatek, który zabił człowieka, aby ratować jej życie; sześciolatek, który ponownie ocalił ją przed śmiercią, kiedy napiła się skażonej wody. Kąciki jej szarzielonych oczu zmarszczyły się w uśmiechu - podobieństwo Michaela do ojca było nie tylko fizyczne. Przyjrzała się twarzy syna: ciemne oczy, gęste, czarne włosy. Czoło miał niższe niż ojciec, ale Michael był jeszcze chłopcem. Te ramiona, ta szczupła sylwetka. Jednakże siła, którą chłopak zdawał się mieć wewnątrz siebie, zarazem dodawała jej otuchy i przerażała. Był Johnem w każdym calu - kochający, rozważny, praktyczny, choć także marzycielski. Dopiero wojna uświadomiła jej, że szaleństwo męża na punkcie przygotowań do katastrofy nie było koszmarem, lecz snem o przetrwaniu, kiedy sama cywilizacja upadnie.



brakowało jej czterech miesięcy. - Szybciej, dzieci - powtórzyła, oglądając się na wzgórza, gdy odgłos silników stał się głośniejszy i wyraźniejszy. Rozpoznała ciężarówki, wiele ciężarówek, ale poza tym jeszcze inny odgłos. Jeździła kiedyś z Johnem na motocyklu, od początku wojny wciąż słyszała motocykle i rozpoznała teraz hałas ich silników.

- Bandyci! - wrzasnęła. - Pędem! Na miłość Boską... - I ściągnając wodze, aby zrównać się z dziećmi, dodała szeptem do siebie: - Na naszą miłość...

Znów obejrzała się na wzgórza i słysząc wzmagający się ryk motorów, popatrzyła na dzieci. Cofnęła lejce przy wyciąganiu zza pasa przy siodle zmodyfikowanego AR-15, po czym przewiesiła go przez plecy.

- Ruszaj, mała - sapnęła, spinając klacz i pochylając się nisko nad rozwianą grzywą, która siekąc ją po twarzy, wyciskała łzy z oczu.

Sarah, wyprzedzając Annie, wyciągnęła prawą rękę i uderzyła jej wierzchowca po zadzie. Gdy spojrzała w tył, wydało jej się, że widzi kontur wynurzającej się zza horyzontu ciężarówki.

- Szybciej, mała - popędziła swą klacz. Michael już zwalniał, mając przed sobą domek.

- Michael! - krzyknęła kobieta. - Wprowadź konia do środka! Szybko!

Gdy syn zaczął zsiadać, Sarah zwolniła i zeskoczywszy sprawnie z siodła, przesunęła AR-15 na plecy, po czym oburącz złapała wodze konia Annie. Przytrzymała wierzchowca i zdjęła z niego dziewczynkę.

- Biegnij do tego domu! - Sarah popchnęła przed sobą Michaela, dzierżąc teraz lejce wszystkich trzech koni.

Michael mocował się z drzwiami domku, więc Sarah odsunęła chłopca na bok i próbując przekręcić klamkę, pchnęła całym swoim ciężarem nie malowane deski, obcierając dłonie o szorstkie drewno. Drzwi ustąpiły i Michael i Annie weszli do środka. Widziała teraz wyraźnie grzbiet wzgórz. Pomyliła się - to nie były ciężarówki. Jechały tam czołgi z czerwoną gwiazdą na pancerzach.

- Rosjanie - mruknęła, poganiając przed sobą konie. Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie bezwładnie.

Nagle usłyszała okrzyk Michaela:

- Mamo!

Odwróciła się na pięcie z automatyczną czterdziestką piątką w ręku i kciukiem na bezpieczniku. Przez głowę przemknęły jej jednocześnie dwie myśli: jak bardzo przyzwyczała się już do niebezpieczeństwa i do chronienia przed nim siebie i dzieci oraz kim był ten

człowiek w koszuli poplamionej krwią, który pojawił się nagle.

Mężczyzna wycharczał z akcentem mieszkańca Południowej Georgii:

- Jestem z ruchu oporu...

Gdy Sarah ruszyła ku niemu przez pokój, zdała sobie sprawę, że przed domem są Rosjanie, a ją czeka nowy obowiązek.

## ROZDZIAŁ V

John Rourke obserwował, jak wskazówka licznika Harleya drga w pobliżu zera. Miał jeszcze do pokonania dziesięć mil do stacji strategicznych rezerw paliwowych, zaznaczonej na mapie podarowanej mu przez Samuela Chambersa, prezydenta Stanów Zjednoczonych II. Rourke nauczył się tej mapy na pamięć, po czym ją zniszczył, odtwarzając potem z pamięci kopię, którą ukrył w swej kryjówce, gdzie również Paul Rubenstein nauczył się jej na pamięć.

Nigdy wcześniej Rourke nie musiał korzystać z rezerw paliwowych - na swej drodze zawsze odnajdywał benzynę. Ale też nigdy przedtem nie oddalił się tak bardzo od swej kryjówki.

Spłynął promem tak blisko Savannah, na ile było to bezpieczne, potem porzucił go i zostawił dziewczynę w najbezpieczniejszym miejscu, jakie udało mu się znaleźć. Nie chciał, żeby ranna kobieta opóźniała jego rajd po paliwo, a poza tym nie widział potrzeby zbędnego narażania jej. Wiedział doskonale, że Sowieci zajmowali okolice Savannah, wykorzystując tę miejscowość jako najdogodniejszy obecnie główny port południowo-wschodni. W dodatku w okolicy byli bandyci, czego dowiodło wcześniejsze spotkanie. Rourke zostawił dziewczynie małego dwucalowego colta oraz żywność i wodę, na wypadek, gdyby jemu coś się przytrafiło.

Przed sobą zauważył wzniesienie, więc dodał gazu i wjechał na górę. Spoglądając na czarną tarczę Rolexa, stwierdził, że dotarcie do stacji zabierze mu kolejne dziesięć minut. Grunt był nierówny, nie uczęszczany przez pojazdy. “W gruncie rzeczy - pomyślał Rourke – doskonałe miejsce na strategiczną rezerwę ropy i benzyny. Z dala od tych bitych traktów, dostępne jedynie dla motocykla lub największych ciężarówek.” Rourke współczuł kierowcom cystern, którzy musieli kiedyś przebyć tę wyboistą drogę, aby dostarczyć paliwo.

Po następnych kilku minutach jazdy wskazówka licznika paliwa opadła poniżej zera. Rourke zatrzymał motor, bo zdawało mu się, że silnik pracuje trochę nierówno. Odtworzył w myśli punkt na mapie i sprawdził soczewkowaty kompas, aby upewnić się, że zapamiętane współrzędne się zgadzają. Powoli ruszył maszyną w dół wzniesienia. Zdał sobie sprawę, że teraz jest prawie całkiem bezbronny. Łatwo go było zatrzymać na odkrytej przestrzeni, z unieruchomionym w czasie tankowania motocyklem.

Rourke okrążył wokół polanę, po czym zatrzymał się, rozkładając stopkę. Zsiadł z motoru, szarpnął w tył zamek karabinu i puścił go naprzód, ładując pocisk do komory. Z odbezpieczoną bronią wyszedł na polanę i ponownie porównał wskazówki kompasu z mapą.

Zauważywszy grupkę drzew wyglądającą na jego cel, ruszył w tym kierunku, przepychając się kilka stóp wśród konarów sosen. Wreszcie znalazł zawór.

Chambers wyjaśniał mu, że w przeciwieństwie do innych zapasów do użytku cywilnego, przemysłowego i militarnego, pokazane na mapie rezerwy paliwa są zasobami awaryjnymi. Ze względu na przeznaczenie awaryjne zastosowano tutaj pompy pneumatyczne, a nie - jak w cysternach cywilnych - elektryczne. A to oznaczało, że czas tankowania przeciętnego samochodu - jak tłumaczył Chambers - miał wynosić mniej więcej od dziesięciu do dwunastu minut. Był to proces powolny. Rourke uśmiechnął się na tę myśl. Zastanawiał się, czy będzie jeszcze kiedykolwiek prowadził "zwyczajny samochód".

Wrócił do Harleya, po czym podprowadził go do linii drzew i rozpoczął tankowanie. Nawet przy znacznie mniejszych niż w samochodzie zbiornikach (licząc jeszcze dodatkowy kanister) Johnowi wydawało się, że czynność ta trwa nieskończenie długo, kiedy śledził poziom paliwa po uruchomieniu pompy, zostawiwszy uprzednio kluczyk w stacyjce. Uświadomił sobie, że przy tłoczeniu ręcznym i pustym niemal do cna baku, może łatwo popełnić omyłkę zakładając, że zbiorniki są już pełne, podczas gdy naprawdę będzie inaczej. Przy napełnianiu Harleya, a potem zbiornika zapasowego lustrował wzrokiem polanę i nierówną drogę, która ją przecinała. Był wciąż bezbronny.

Nagle znieruchomiał, słysząc ludzki głos. Ktoś mówił po rosyjsku. Mimo ogarniającego go lęku, John kontynuował tankowanie. Głos dobiegał zza niskiego pagórka, przez który John dojechał na polanę. Rourke ocenił sytuację - było co najmniej dwóch ludzi, prawdopodobnie zbliżający się sowiecki patrol.

Wziął do ręki broń i rozłożył kolbę. Zerknął na zapasowy zbiornik paliwa. Był prawie pełny. Zakręcił przykrywkę baku Harleya, omiatając wzrokiem teren, aby sprawdzić, czy poza odciskami opon nie zostawił innych śladów swej obecności. Przydeptał kilka rozlanych na ziemi kropli benzyny. Kanister był pełen i John przestał pompować. Spoglądając przez ciemne okulary ku wzniesieniu, zamknął szybko pojemnik i umocował go przy motorze.

Ukrył na swoim miejscu wąż, po czym zakręcił i założył szyfrową blokadę - wraz z mapą, Chambers dał mu również szyfr.

Teraz usłyszał ich wyraźniej. Nie zapalając silnika, zaprowadził motocykl na środek polany i wrócił, by zatrzeć, najlepiej jak potrafił, wszelkie pozostawione ślady, używając przy tym zdjętej z pleców skórzanej kurtki. Ubrawszy się ponownie i złożony kolbę CAR-15, Rourke wsiadł na Harleya i czekał. Jeśli głos się zbliży, postanowił zaczekać, aż całkiem ucichnie, a potem wejść na pagórek i jeżeli wszystko będzie w porządku, czmychnąć. Miało to kluczowe znaczenie, żeby nie zwrócić uwagi Sowieców na polanę i nie wskazać im drogi



Wjechawszy na drogę, Rourke spojrział w tył wzdłuż rzeki. Zbliżała się niewielka radziecka ciężarówka w barwach maskujących. Wprowadził motor w ostry zakręt i wyhamował, wyciągając Pythona i odbezpieczając go. Rosyjski pojazd był na pagórku. Rourke oddał trzy szybkie strzały. Z maski ciężarówki uniósł się obłok pary i pojazd zatrzymał się pośrodku grzbietu pagórka. John schował colta i ruszył naprzód, wyciągając z kieszeni jedno ze swych małych cygar.

## ROZDZIAŁ VI

Generał Warakow stał na półpiętrze, patrząc na główną salę. W czasie, gdy wykorzystywał leżące nad jeziorem muzeum w charakterze swej kwatery głównej, od przybycia z Moskwy wkrótce po wybuchu wojny, często przyglądał się ustawionym tutaj szkieletom mastodontów. Warakow uśmiechnął się - to właśnie w pomieszczeniach muzeum lub nad jeziorem wykonywał w tych dniach większość pracy umysłowej. Spróbował przypomnieć sobie, gdzie czynił to najczęściej w Moskwie, ale zdał sobie sprawę, że chyba tam nie pracował tyle, ile mógł. Kręcąc głową, oddalił się od balustrad i usiadł na jednej z niskich ławek, ciągle mając widok na salę. Znał prawie na pamięć raporty, które leżały na jego biurku, Kubańczycy, wciąż tylko Kubańczycy.

Po wybuchu wojny została im oddana Floryda, aby zadowolić komunistycznego przywódcę ich wyspiarskiego narodu. Warakow pomyślał, że był to błąd polityczny ze strony premiera i Politbiura. Raporty wskazywały, iż komuniści kubańscy przeprowadzili kilka wypraw na południowe krańce Georgii - terytorium pod okupacją radziecką. Były doniesienia o obozach koncentracyjnych i masowych egzekucjach Amerykanów. Tego rodzaju rzeczy, wiedział to Warakow, niweczyły wszelkie podejmowane przez niego próby złagodzenia nacisku ze strony grup Amerykańskiego Ruchu Oporu. Jego własne dowództwo też stworzyło więzienie dla schwytych członków ruchu i innego podejrzanego elementu, ale obozy były prowadzone na humanitarnych zasadach - sprawdził to osobiście. Egzekucje były nieliczne i tylko na ludziach z ruchu oporu, którzy zostali wzięci do niewoli podczas akcji.

Ostatecznie, trwała przecież wojna. Doszło już do dwóch niebezpiecznych konfrontacji między patrolami radzieckimi i wojskiem kubańskim w Georgii. Bez wątpienia będą następne, wiedział to.

- Castro - mruknął Warakow.

Było jasne, że coś trzeba zrobić z tymi Kubańczykami, i to szybko. Nie pragnął konfliktów "granicznych" z powodu czegoś tak - według jego zdania - bezużytecznego jak Floryda.

Rządy komunistów na Kubie Warakow uważał za dziecinadę. "Wobec osób, które zachowują się jak nieodpowiedzialni, małoletni przestępcy, ostrożności nigdy za wiele" - skonstatował.

Po przejrzaniu raportów spędził prawie równą ilość czasu na czytaniu akt osobowych. Zatarł dłonie i wstając na obolałe nogi, podszedł z powrotem do balustrady, w nie dopiętym

mundurze. Poruszając palcami w butach, generał patrzył w dół na główną salę. Towarzysz Konstantin Miklow był doskonałym człowiekiem - oficer doświadczony w postępowaniu z Kubańczykami po trzyletnim pobycie w ich kraju jako doradca wojskowy. Hiszpański Miklowa, jak zorientował się Warakow z akt, był nienaganny.

Na ustach generała zawisł uśmiech. W jedynej dziedzinie, gdzie Miklow wykazywał niejaki braki - tło wywiadowcze - Warakow potrafił je uzupełnić i jednocześnie osiągnąć cel uboczny. Natalia Tiemerowna. Niedawno awansował ją do stopnia majora. Doszedłszy już prawie zupełnie do siebie po pobiciu przez Władimira Karamazowa - jej nieżyjącego już (dzięki temu Amerykaninowi, Rourke'owi) męża - chciała otrzymać nowe zlecenie. Warakow wiedział, że jej znajomość hiszpańskiego jest bez zarzutu, otwartość - cecha, która go w niej tak bardzo ujmowała - czyniła ją bardziej ważną i cenną niż pokrewieństwo. Wszystko to powinno jej ułatwić wyjaśnienie przyczyn, które kryją się za kubańskimi wyprawami do okupowanego przez Sowieców terytorium.

Przechylił się przez balustradę, rozbawiony własnymi myślami. Czy rzeczywiście wysyłał ją ze względu na swoje potrzeby, czy też raczej po to, by mogła dotrzeć do celu, który sama sobie wyznaczyła?

Odsunął od siebie ten dylemat, sądząc, że może z wiekiem stał się bardziej wujem niż przełożonym Natalii. Wiedział, że powinien był zaplanować zlikwidowanie Rourke'a po zamordowaniu przez niego Karamazowa. Jednakże Rourke w istocie nie zamordował męża Natalii - raczej wyglądało to na "uczciwy" pojedynek, w którym zwyciężył Amerykanin. Warakow wzruszył ramionami. Podobał mu się ten Rourke. "Dobry człowiek zawsze pozostanie dobrym człowiekiem - myślał generał - bez względu na politykę." Uśmiechnął się. Niezależnie od tego, czy Natalia przyzna się do tego przed sobą, czy nie, i mimo jej nienawiści do Rourke'a, gdy dowiedziała się o śmierci męża, ta niezwykle piękna kobieta kochała owego dzikiego i szalonego Amerykanina.

Warakow zaczął śmiać się w głos, odwracając się od barierki i ruszając po długich, niskich schodach ku głównej sali i przylegającemu do niej gabinetowi. Bawiło go, że tak bardzo się niepokoi zatargami między Rosją i Kubą. - Powinienem bardziej martwić się tym - mruknął, dotarłszy do podnóża schodów i zastanawiając się, co zrobi, jeśli kiedyś Natalia i Rourke się spotkają.

- Zabawne - rzekł, mijając wysoką, młodą sekretarkę i chichocząc znów, kiedy jej oczy wyraźnie starały się rozszyfrować jego śmiech. - Nic takiego - powiedział do niej dobrodusznie, podchodząc do biurka. Po czym mruknął pod nosem: - Jeszcze nic.

## ROZDZIAŁ VII

- Kto tam?

- Jeśli ktoś zbliżył się wystarczająco, żeby odpowiedzieć, zwykle jest już za późno, aby strzelać - powiedział Rourke, wychodząc z cienia niewielkiej grupki sosen o niespełna sześć stóp od kasztanowowłosej kobiety, której fryzura w świetle zmierzchu zdawała się prawie czarna.

- Mój Boże.. Czy ty zawsze...

- Nie, zwykle nie podkradam się do ludzi... Chciałem się tylko upewnić, czy jesteś sama - odparł Rourke, robiąc dwa kroki i stając obok niej, siedzącej na ziemi z plecami opartymi o skałę. - Jak się czujesz, Sissy? - spytał, pochylając się nad nią.

- Zmęczona, zdenerwowana... ale chyba jednak lepiej - odrzekła. - Masz, weź to z powrotem. - Podała Johnowi chromowanego colta, którego jej wcześniej zostawił. - Broń mnie denerwuje.

- Nie ma powodów, żeby broń źle na ciebie wpływała - powiedział cichym głosem. - Pistolet jest jak korkociąg, piła, stetoskop, skalpel... czy sejsmograf - dodał.

- A jednak sejsmografem nie można nikogo zabić - rzekła zmęczonym głosem.

Przypaliwszy jedno ze swoich cygar, Rourke zatrasnął zapalniczkę i zaciągając się głęboko, obserwował jak wypuszczony dym wznosi się szarą smuzką na tle ciemniejącego nad skałami nieba. - Ze wszystkiego można zrobić dobry lub zły użytek, broń nie jest inna. Mogę wziąć na przykład to - rozpiął kurtkę i wskazał na kolbę nierdzewnego Detonicsa pod lewym ramieniem - i zostać bandytą jak ci ludzie, którzy ścigali cię rano. Mogę też robić to, co ja robię - walczyć z bandytami. Mogę użyć tej samej broni do zupełnie różnych celów, prawda? Nie zmienia to jednak natury broni, bo sama broń jest jedynie martwym przedmiotem, czyż nie?

- No, chyba tak...

- Broń niepokoi ludzi, ponieważ tego nie rozumieją. Człowiek zwykle lęka się czegoś, czego nie rozumie. Spróbuj pokazać sejsmograf Buszmenowi, a rysik zostawiający na papierze dziwne linie przerazi go na śmierć tak samo jak ciebie to. - Rourke ważył w prawej dłoni małego colta, następnie schował go pod kurtkę

- Może i masz rację - odezwała się dziewczyna. - Ale... broń, wszelka broń... spowodowała to wszystko - powiedziała, patrząc na pomarańczowo-czerwony horyzont.

- Nie - szepnął Rourke. - Tak samo jak moje porównanie z bandytami. Energia

nuklearna mogła zostać użyta w dobrych celach, w wielu dziedzinach została... i może nadal będzie. To znowu sytuacja, kiedy ludzie czegoś nie rozumieją i obawiają się tego. Rosjanie nigdy nas w istocie nie rozumieli, a my - ich. Ci nieliczni po obu stronach, którzy pragnęli porozumienia, nie rozpętali wojny. Zaczęli ją ludzie, którzy nigdy nie mieli czasu lub chęci na zrozumienie. Dlatego ty chcesz teraz zawiadomić wywiad o grożącej katastrofie, dlatego ja szukam żony i dzieci. Za mało ludzi rozumiało lub starało się zrozumieć. Z tego powodu jesteśmy teraz w obecnej sytuacji.

- Wszystko już się naprawdę skończyło... tak? - wyszeptwała dziewczyna chrapliwie.

- Chyba tak... nie jestem pewien. Nie wiem, czy ktokolwiek to wie. Ale nie można po prostu siedzieć z założonymi rękami i czekać na śmierć. Póki wystarczy ci tchu w piersiach, zawsze jest jakaś szansa.

- Ale te wschody i zachody słońca, pogoda... to wszystko... - zaczęła kobieta.

- Zrobiliśmy coś, czego nigdy wcześniej nie dało się dokonać, a może ludzkość cofnęła się w rozwoju. Sam nie wiem - wyszeptał wolno. - Może historia naprawdę się powtarza. Całe to gówno, które wysłaliśmy do atmosfery - to nie zdarzało się od czasów masowej aktywności wulkanicznej, wiele milionów lat temu. Jakie to może mieć skutki, nie mam pojęcia. Jestem lekarzem, to ty jesteś naukowcem. Może wiesz?

- Nie, ale...

- Być może masz szczęście, może oboje je mamy. Rourke ponownie podniósł wzrok na niebo. Słońce już zapadło za horyzont i widać było gwiazdy, choć niebo zdawało się bardziej purpurowe niż czarne lub granatowe.

- Myślisz, że gdzieś tam ktoś jest? - zapytała cichym głosem, jak mała dziewczynka.

- Może to jest właśnie najbardziej tragiczne w tym wszystkim - odparł Rourke powoli.

- Może nigdy się nie dowiemy. Sądzę, że ktoś powinien tam być. Może gdybyśmy zetknęli się z cywilizacją, która przeszła ten garb technologiczny, i mimo to przeżyła, nauczylibyśmy się, jak tego dokonać.

- Jesteś dziwnym człowiekiem, John... To znaczy, lekarz, który jeździ na motorze i nosi broń. Nie pasujesz do żadnego schematu.

- Przyjmuję to jako komplement. - Rourke uśmiechnął się w mroku. - Lepiej ruszajmy w drogę do Savannah, sprawdzić, jak można skontaktować się z rządem.

- A więc zdobyłeś benzynę do motocykla?

- Uhm - potaknął Rourke z roztargnieniem. Patrzył ku gwiazdom. Myślał.

## ROZDZIAŁ VIII

- Chyba jestem ostatni... Chryste! Jak to boli!

Sarah pochyliła się nad lewym udem mężczyzny, zbliżając twarz. Rana nie cuchnęła, to dobry objaw. Żałowała, że nie potraktowała ongiś bardziej poważnie swojej ochotniczej pracy w szpitalu lub nie śledziła uważniej Johna, gdy kilka razy widziała go przy pracy. Pamiętała, jak wkrótce po ślubie spotkała lekarza, u którego Rourke odbywał praktykę, zanim ostatecznie porzucił medycynę i podjął pracę dla Centralnej Agencji Wywiadowczej. "Ten człowiek - próbowała przypomnieć sobie jego nazwisko. - Feinstein? Feinburg..?" "Chyba jakoś tak" - stwierdziła. Ten człowiek, jakkolwiek się nazywał, powiedział jej pewną rzecz, kiedy John oddalił się na kilka chwil. W tamtych czasach jej mąż palił jeszcze papierosy i być może poszedł kupić nową paczkę. "To było wiele lat temu" - pomyślała. Lekarz powiedział jej, że Rourke jest najbardziej obiecującym człowiekiem, z jakim kiedykolwiek pracował w medycynie - z wystarczającymi zdolnościami manualnymi, żeby zostać wybitnym chirurgiem, gdyby się na to zdecydował, i umysłem zdolnym do szybkiego podejmowania ważkich decyzji o życiu i śmierci, a potem do działania. Ta druga cecha - doktor nazywał się Feinmann, przypomniała sobie wreszcie - jest rzadką rzeczą, która czyni lekarza wielkim.

Sarah spojrzała na leżącego obok na kozetce bojownika ruchu oporu.

- Jak się pan nazywa? - Pamiętała, by zadać to pytanie.

- Harmon Kleinschmidt - powiedział napiętym głosem.

- No więc, panie Klein... - Przerwała, by zacząć od nowa:

- Panie Harmon, mój mąż, ojciec tych dzieci, jest lekarzem. Ja nie znam się na medycynie. Byłam na kilku kursach pierwszej pomocy, zawijałam jako ochotniczka bandażę i widziałam parę razy, jak mąż operuje nagłe przypadki. Wiem, co robić, żeby oczyścić panu ranę, może nawet potrafię wyciągnąć kulę, o ile nie jest za blisko jakiegoś ważnego dla życia organu. Ale skoro ma pan tylko mnie na podorędziu i ponieważ wkoło są Rosjanie, może po prostu przestanie pan jęczeć i przygryzie zębami ręcznik czy coś takiego, żeby pozwolić mi zrobić to, co będę mogła. Okay?

Kleinschmidt opadł na zwinięty koc służący mu za poduszkę.

- Mogę mówić? - wysapał.

Nie podniosła na niego oczu, ale brzmiało to, jakby mówił przez zaciśnięte zęby.

- Pewnie... jeśli to pomoże - szepnęła. Rzuciła spojrzenie przez ramię. Michael i Annie wycierali konie nie patrząc. Była z tego zadowolona, bo rana nogi wyglądała okropnie, a

oprócz niej była jeszcze druga - na ramieniu.

- Dorwali nas wszystkich... wszystkich prócz mnie. Większość kobiet i dzieciaków wyruszyła, gdy wszyscy mężczyźni dali się złapać. A ja próbowałem gdzieś uciec, gdziekolwiek... i trafiłem tutaj.

Sarah podejrzewała, że mężczyzna zaczyna majaczyć.

- Co się stało? - zapytała, nie dbając zbyt o odpowiedź, ale starając się zająć czymś myśli. W górnej części uda partyzanta, bardzo blisko kości, tkwił duży, zdeformowany kawałek metalu i wiedziała, że usunięcie go będzie bolało.

- No... hmm - chrząknął. - Więc, oni... czerwoni... Chcieliśmy im dołożyć. Myśleliśmy, że Savannah jest im potrzebne jako port morski. Chodzą słuchy, że Ruscy oddali Florydę armii Castro. Jeśli nie mogli wykorzystać Florydy, Savannah musiało stać się ważne jako port. No więc myśleliśmy, że możemy im zdrowo dopieprzyć... przepraszam panią - charczał - jeśli uprzykrzymy im życie. Radziliśmy sobie okay, aż zaczęliśmy koordynować wszystko z U.S. II.

- Co za U.S. II? - zapytała Sarah. Używała małych szczypiec z polowej apteczki pierwszej pomocy, którą skompletował John przed Nocą Wojny i którą później Sarah zabrała z domu. - Dom... - szepnęła do siebie.

- Co proszę pani? - spytał Kleinschmidt

- Nic, Harmon. Powiedz mi, co to jest U.S. II? No, dalej. - Zaczęła szukać szczypcami kuli. "Lada chwila ten człowiek zacznie krzyczeć."

- No więc sam tego dobrze nie rozumiem. Chyba jakiś facet zwany Samem Chambersem jedyny przeżył z gabinetu prezydenta. I on został nowym prezydentem. Wokół krążył taki list, mieli go niektórzy. Mój kumpel, Jock Whitman, czytał mi jego kopię. Prezydent, ten prawdziwy, zabił się, żeby komuchy nie zmusiły go do kapitulacji.

- Nie wiedziałam o tym. Jesteś pewien? - dopytywała się.

- No... Tak pisało w tym liście, Jock mi mówił. Podobno kopie tego listu są w całym kraju. Podobno tajne służby zdobyły go dla niego. Kiedy zaczęliśmy pracować z U.S. II, mówili to samo. Ale chyba u nich jest jakiś problem. Jak zaczęliśmy wszystko z nimi uzgadniać, Rosjanie prawie jakby wiedzieli, co mamy robić, zanim to zrobiliśmy. Niektórzy myśleli, że tam, w U.S. II jest jakiś...aaa!

Podniosła wzrok. Jego ciało skręciło się gwałtownie, oczy miał zamknięte a twarz wykrzywioną grymasem bólu. Ale pierś wciąż unosiła się i opadała. Wydawało jej się, że kiedy szczypcami zaczęła dosięgać kuli, Harmon znów skulił się z bólu.

- Michael! - zawołała. - Chodź, przytrzymasz pana Kleinschmidta, żeby się nie ruszał,

kiedy to robię. Annie, ty zostań przy koniach.

Po chwili Michael był obok.

- Nie patrz, synku - powiedziała.

- W porządku, mamó - odparł chłopiec cicho. Nawet jego głos, sposób mówienia, przypominał jej coraz bardziej Johna.

- Zdrajca? - rzekła, wyjmując z nogi kulę. Wydawało jej się, że utkwiała ona w mięśni, ale nie była tego pewna.

- Co?

Spojrzała na syna, zmuszając się do uśmiechu.

- Nie, nie ty, skądże znowu... - szepnęła.

- Pan Kleinschmidt - ciągnęła badając ranę, żeby sprawdzić, czy kula nie pozostawiła żadnych odłamków - opowiadał mi, zanim zemdlął, że podejrzewa, iż ktoś donosi Rosjanom o tym, co robi on i reszta ludzi z ruchu oporu. Wiesz, to tak jak mąż i syn Mary Mulliner, oni też są w ruchu oporu. No więc on sądzi, że jest jakiś zdrajca.

Nie było żadnych odłamków i Sarah przyjrzała się przez moment kawałkowi metalu w szczypcach. Był wyraźnie zniekształcony, ale pozostał w jednej części.

- Taka maleńka rzecz - powiedziała, obracając kulę do światła.

Sarah Rourke popatrzyła na twarz Harmona Kleinschmidta. Wydawała się ona teraz bardziej spokojna. Wyobraziła sobie, że po umyciu i ogoleniu mężczyzna ten może okazać się przystojny. Wcześniej powiedział jednak, że jeśli mu pomoże, mogą ukraść łódź i dopłynąć do bezpiecznego miejsca na jednej z przybrzeżnych wysp. "Bezpieczeństwo" - pomyślała.

## ROZDZIAŁ IX

Rourke spojrział na kobietę, mrugając w blasku słońca. - Tu będziesz bezpieczna, więc nie denerwuj się. Dotarcie pieszo do Savannah powinno mi zająć jakąś godzinę. Kiedy tylko znajdę kontakt, może uda mi się załatwić jakiś środek transportu, żeby szybciej wrócić.

- Ale czemu nie bierzesz ze sobą broni? Co zrobisz, jeśli...

Rourke przerwał jej:

- Jeśli zobaczą mnie z pistoletem, będę spalony. W okupowanych miastach Sowietów nie pozwalają Amerykanom nosić nawet scyzoryków, nie mówiąc o broni palnej. Powinno ci się to podobać - dodał Rourke. - Przymusowy pacyfizm.

- Tak - zaczęła - ale to co innego.

- Wyjaśnij mi to kiedyś - powiedział Rourke, nie zwracając specjalnej uwagi na jej niekonsekwencję. Rozpoczął marsz. Po długim czasie noszenia butów wojskowych, teraz czuł się nieswojo w kowbojskich butach, wyjętych ze swojego plecaka. Rondo szarego kapelusza miał opuszczone nisko na twarz. "Nieumyślnie okłamałem tę kobietę" - myślał, ruszając w dół niewielkiego wzniesienia, na którym ją zostawił. Nie był całkiem bezbronny. Ciężka sprzączka u pasa podtrzymującego Levis'y mogła okazać się dobrą bronią w walce wręcz. "Poza tym mam jeszcze dwoje rąk" - przekonywał siebie. Bez pistoletu czuł się jednak nagi, ale może właśnie tak było najlepiej.

Zawsze istniała niepokojąca ewentualność, że kobieta straci zimną krew, ukradnie motor i ucieknie, zanim on wróci. On też potrafiłby ukraść motocykl. Drugi Harley, którego w Nowym Meksyku zabrał zabitemu bandycie, po tym jak rabusie wymordowali ocalałych pasażerów odrzutowca - ten motocykl był teraz w kryjówe. Przypuszczał, że potrafiłyby go przerobić, upodabniając go do typu Low Rider, który zostawił z Sissy.

"Największym problemem byłaby pozostawiona broń" - stwierdził, schodząc ze wzgórza i ruszając równoległe do dwupasmowej autostrady, prowadzącej do Savannah. Bliźniacze Detonics'y byłyby nie do zastąpienia, podobnie jak Python i CAR-15. W Schronie miał jeszcze seryjnie produkowany karabin AR-15 i colta Government 45. Mógłby zawsze używać magnum Gustom 357, poważnie zmodyfikowanego trzycalowego pistoletu, z wygrawerowanym na płaskiej lufie jego nazwiskiem. Była to bardzo dobra broń, ale jednak nie idealna. Używał też niegdyś z dużym powodzeniem pistoletu Smith and Wesson. Przypuszczał, że pistolet ten byłby uzupełnieniem listy jego ekwipunku.

Zatrzymał się, omiatając wzrokiem drogę w pewnej odległości od przełęczy, którą

szedł; uśmiechnął się. Prawdopodobnie kobieta będzie tam, kiedy wróci, a wraz z nią broń i Harley. Ale te rozważania skróciły mu drogę. W oddali widział już przedmieścia Savannah.

## ROZDZIAŁ X

Sarah Rourke podjechała na Tildie tak blisko Savannah, jak było to bezpieczne, zostawiwszy Michaela w roli opiekuna osłabionego, choć już przytomnego Harmona Kleinschmidta, a wraz z nim - Annie. Kleinschmidt upierał się, że jeśli Sarah dotrze do miasta i odnajdzie łódź, o której mówił, będzie mogła ją wziąć, a potem zabrać ich wszystkich na jedną z przybrzeżnych wysp, gdzie on mógłby wrócić do zdrowia, a ona i dzieci mogliby odpocząć. Zgodziła się.

Zostawiła karabin Kleinschmidtowi, biorąc ze sobą tylko automatyczną czterdziestkę piątkę. Po mniej więcej godzinie jazdy rozsiodła Tildie i zostawiła ją na polanie, nie obawiając się, że klacz ucieknie. Resztę uprzęży zaniósła w zalesione miejsce opodal, po czym przebrała się. Uważała bowiem, że jej podróżny strój wzbudzi czyjeś zainteresowanie. Schodząc teraz ze wzgórza, czuła dotyk traw na obnażonych nogach poniżej drelichowej spódnicy - prezentu od Mary Mulliner, która dostała ją na Gwiazdkę od męża i nigdy nie nosiła. Sarah miała też na sobie cienką, błękitną koszulkę, a nawet założyła stanik, którego nie używała od opuszczenia farmy Mullinerów. Nie miała warunków do mycia włosów, ale te były dość długie, aby je upiąć, co też zrobiła.

Doszła do drogi i mogła już dostrzec przed sobą miasto. Czując się dziwnie zdenerwowana bez swego pistoletu, uśmiechnęła się.

- Mój pistolet - szepnęła, myśląc o tym, że przed wojną prawie nigdy nie dotykała broni, a od jej wybuchu zawsze ją nosiła za paskiem rajstop i razem z nią spała.

Ruszyła drogą do Savannah ku portowym dokom, gdzie według słów Kleinschmidta miała być ukryta łódź.

## ROZDZIAŁ XI

Rourke zapalił cygaro. Swą zapalniczkę zostawił razem z bronią i motocyklem. To było oczywiste posunięcie. Benzynowe zapalniczki wymagają paliwa, nie były więc w powszechnym użyciu. Nikt prócz Rosjan i nielicznych, wybranych Amerykanów, którzy z nimi współpracowali, nie posiadał paliwa. John użył zapalek, osłaniając dłonią płomień przed lekkim wiatrem. Stał na końcu drewnianego mola i patrzył na przymocowaną tam, okazałych rozmiarów łódź rybacką. Łódź nazywała się "Stargazer II" - była to nazwa, którą przypomniał sobie z wyuczonej na pamięć listy, podarowanej ongiś Paulowi Rubensteinowi przez kapitana Reeda. Kapitanem "Stargazera II" miał być Cal Summers, lokalny pracownik Wywiadu Wojskowego. Rourke miał nadzieję, że to się nie zmieniło. Wyrzucił spaloną zapalniczkę i zaczął iść wzdłuż doku, w kowbojskim kapeluszu nasuniętym na oczy.

Na pokładzie pracował jakiś człowiek. Było na tyle wcześnie, że nie wszyscy tutejsi rybacy już wypłynęli, a Rourke rozumiał, że trudności z paliwem nie pozwalają wszystkim łodziom co dzień wypływać na połów. Rybołówstwo w ocalałych miastach wybrzeża - co powiedział mu Reed, a potwierdziły rozmowy z innymi osobami - było ważną częścią gospodarki. Jeszcze rok, a przeciętny Amerykanin, który przeżył Noc Wojny, będzie przymierał głodem. Kiedy Rosjanie zamienili centrum kraju w nuklearną pustynię, zniszczyli tym samym wiele głównych obszarów uprawnych Ameryki. Utrata Kalifornii, a wraz z nią zbiorów warzyw i owoców z doliny Imperia była dodatkową katastrofą. Floryda została tak dotkliwie zbombardowana, że bardzo niewiele można tam było wyhodować. Rourke pokręcił gwałtownie głową. Wraz z głodem nadejdzie jeszcze większa przemoc i gwałt

Zatrzymał się na pomoście tuż za rufą "Stargazera II". Pod sklepieniem stał mężczyzna pracujący w pobliżu przyrządów nawigacyjnych.

- Przepraszam! - zawołał doń Rourke.

- Czego chcesz? - odparł człowiek nie oglądając się.

Rourke uśmiechnął się, kuląc ramiona przed zrywającym się wiatrem. Bez skórzanej kurtki, kowbojska koszula, którą nosił, okazała się raptem nieodpowiednia.

- Wchodzę na pokład. Pan jest kapitan Cal Summers? - zapytał, stawiając krok z pomostu do łodzi.

Mężczyzna odwrócił się, a gdy to zrobił, spojrzenie Rourke'a pobiegło w stronę jego pasa. Nie było tam żadnej wypukłości, ale sweter podniósł się nieco, gdy mężczyzna się poruszył.

- Jazda z mojej łódki, kolego - stwierdził stanowczo mężczyzna w swetrze.

- Jeśli pan jesteś Cal Summers, to mam interes - kontynuował Rourke cichym, równym głosem.

- Jestem Cal Summers, ale nie mam z tobą żadnych interesów, kolego. A teraz spływaj, no jazda!

Rourke postąpił krok naprzód, oglądając się przez ramię i upewniając, że nikt nie patrzy. Kiedy człowiek w swetrze zaczął się ruszać, lewa ręka Johna wysunęła się do przodu, chwytając rękojeść pistoletu pod swetrem.

Zanim Cal Summers zdążył zareagować, broń była już w dłoni Rourke'a, który odskoczył i cofnął się ku rufie.

Trzymając zdobycz tuż przed sobą, powiedział na wpuł do siebie:

- Smith and Wesson 662,5, z uchwytem Barami Hip... Nieźle...

Summers ruszył ku niemu, Rourke podniósł wylot obciętej lufy nierdzewnego rewolweru.

Rybak zatrzymał się. Rourke ponownie rzucił spojrzenie za siebie, by sprawdzić, czy nikt ich nie widzi, po czym obrócił broń na palcu lewej dłoni i podał ją, skierowaną rękojeścią do przodu, Summersowi.

Kapitan, strzelając oczyma na lewo i prawo, porwał pistolet i wepchnął z powrotem za pas pod swetrem.

- Czego do diabła chcesz? Kim jesteś?

- Nie tutaj - odparł John. - Wejdźmy do środka.

- A więc - pod pokład - rzucił mężczyzna.

Cal zaczął schodzić na dół. Za nim, rozglądając się uważnie na boki, Rourke.

## ROZDZIAŁ XII

Sarah zatrzymała się. Nagły wiatr szarpnął jej spódnicą, przesywając ciało chłodem. Spojrzała wzdłuż mola. Na przeciwnym końcu dostrzegła nazwę, której kazał jej szukać Kleinschmidt - "Ave Maria". Łódź zdawała jej się okropnie wielka, ale ruszyła pomostem, zdecydowana tak czy owak przyjrzeć się jej bliżej. Przy nabrzeżu, jeden przy drugim, przycumowane były kutry rybackie, tylko kilka miejsc było pustych. W pobliżu nielicznych łodzi kręcili się ludzie.

Raptem stanęła znowu, czując biegnący po plecach dreszcz, którego nie wywołało zimno. Zobaczyła kowbojski kapelusz, jaki czasami nosił John. Zastanawiała się, co na rybackiej łodzi robi człowiek w szarym Stetsonie.

Postać w kapeluszu wydawała się jej znajoma.

- Dziwne - mruknęła, po czym poszła dalej. Zerknęła na nazwę, wysoki człowiek w kowbojskim kapeluszu schował się już pod pokład. Łódź zwała się "Stargazer II". Kiedy zmierzała ku "Ave Marii", na końcu mola obejrzała się jeszcze na "Stargazera II". Ale mężczyzny, który przez mgnienie oka przypomniał jej Johna, nie było już widać.





- Więc droga radiowa jest bezpieczna? - zapytał Rourke.

- To dlatego chciałeś się ze mną zobaczyć?

- Właśnie tak - przyznał John. - Wczoraj rano zabrałem ze sobą kobietę. Jest naukowcem. Z kilkoma swoimi ludźmi odkryła pewną rzecz, o której musimy jak najprędzej powiadomić U.S II. Właśnie po to tu przyszedłem.

Pomyślałem, że radio jest najszybszą drogą wysłania tej informacji.

- Jeśli musisz. Ale ja nie ufam tym ludziom z U.S. II. Jest tam jakiś szczur z czerwonym nosem. Jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

- Rozumiem, ale nie mam żadnego wyboru - stwierdził Rourke stanowczo. - Gdzie jest to radio?

- Pomożesz mi odbić od brzegu. Chyba umiesz pływać... Ta woda jest dla mnie ostatnio za zimna.

John zmierzył mężczyznę wzrokiem, kiwając głową. Zsunąwszy Stetsona z powrotem na oczy, wyszedł na pokład. Stał tam, czując wiatr na twarzy, wdychając słony zapach morza. Idąc za wskazówkami Summersa, zaczął wiosłować, podnosząc wzrok na pomost. Stała tam jakaś kobieta - zdało mu się to dziwne - przyglądając się dużej łodzi rybackiej, o wiele większej od pozostałych. Rourke zmrużył oczy pod światło. Łódź nosiła nazwę "Ave Maria". Zwijając linę, przypatrywał się kobiecie. Wiatr podrywał jej z tyłu błękitną drelichową spódnicę, w którą była ubrana. "Ma ładne nogi" - pomyślał i przez chwilę przypominała mu Sarah. Kręcąc powoli głową, gdy kobieta zniknęła za jakimiś belkami na końcu pomostu, wrzucił do wody niedopałek cygara.

Jakkolwiek miały potoczyć się wypadki z przewidywanym trzęsieniem ziemi na Florydzie, chciał już mieć tę sprawę za sobą. Zastanawiał się, ile czasu pozostało mu na odnalezienie Sarah i dzieci. Wiatr wzmógł się i John zsunął rondo Stetsona na oczy.

## ROZDZIAŁ XIV

Sarah oparła się o stertę belek, ułożoną na skraju pomostu. Zimny wiatr chłostał ją po twarzy. Spojrzała na "Ave Marię".

- Zbyt duża - szepnęła do siebie.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, aby Harmon Kleinschmidt był przez najbliższy tydzień, lub nawet dłużej, wystarczająco silny do sterowania kutrem. Odbić od brzegu mógłby pomóc jej Michael, ale jedynymi łodziami, z jakimi miała dotychczas do czynienia, były małe motorówki. Jeden raz prowadziła kiedyś nieco większą łódź, kiedy John jeździł na nartach wodnych. Potrząsnęła głową, wmawiając sobie, że nie potrafi nią sterować. Musiałaby coś ukraść, coś mniejszego. Ruszyła z powrotem pomostem, zauważając "Stargazera II", który wcześniej zwrócił jej uwagę. Za kołem sterowym stał człowiek w swetrze i wełnianej czapce, łódź odpływała od mola. Nie było znaku czyjejkolwiek innej obecności.

Łódź obok miejsca cumowania "Stargazera II" wydawała się mieć odpowiedni rozmiar, ale Sarah zastanawiała się, w jaki sposób kradnie się coś takiego. Wzruszywszy ramionami, zaczęła iść prędzej, kuląc się w przesywającym chłodem wietrze.

- Co zrobiłby John? - zapytała siebie. Od Nocy Wojny nieustannie zadawała sobie to pytanie.





podpłynął kilkanaście stóp do kadłuba. Przy burcie znajdowała się niewielka drabinka. Chwyciwszy się najniższego szczebla i opierając na nim brzeg radia, Rourke podciągnął się prędko dwa stopnie w górę, po czym zaczepił stopę na najniższym, wciąż trzymając radio. Zajrzał nad burtą do wnętrza łodzi. Summers stał, patrząc na lewo. Obserwując go, Rourke uśmiechnął się.

- Kapitanie... - powiedział cichym głosem. Summers obrócił się jak fryga, sięgając po broń". Jego twarz wykrzywił grymas, który wyrażał coś pośredniego między wściekłością i zaskoczeniem.

- Mój Boże, człowieku! O mało nie dostałem zawału serca ze strachu! - Kapitan schował rewolwer z powrotem za pas i ruszył przez pokład.

- Zachowałem tylko względy bezpieczeństwa - odparł Rourke. - A teraz pomóż mi z tym przeklętym radiem!









partyzantów ruchu oporu, schwytanych wraz z nim. Rozkazałem mu uśmiercić Karamazowa.

- Generał obserwował jej twarz: rozszerzone oczy, usta otwarte, wargi rozchylone. Przeszła płakać. - Ale on najwyraźniej nie chciał tego zrobić, więc zabił Władimira w najuczciwszy sposób, jak mógł - w pojedynku na pistolety, jak na amerykańskich westernach. Rourke zabił tego człowieka, ponieważ go do tego zmusiłem. On pociągnął za cyngiel. Ja wycelowałem broń - zakończył.

- Nie, nie mogę uwierzyć, że mógłbyś to zrobić.

- Twój Rourke jest inteligentny, bystry. Mógłby się zgodzić, a potem pomóc w ucieczce swoim towarzyszom, nie zabijając Władimira. Ale podałem mu powód, powiedziałem, co Karamazow uczynił tobie, dlaczego musi umrzeć.

- Nie! - krzyknęła przeraźliwie, odwracając się i uciekając od niego przez półwysep.

Warakow patrzył za nią, wzruszając ramionami, nie próbując jej gonić. Idąc za nią, pochylał się na wietrze i przytrzymywał daszek czapki. Krzyknął tylko raz: - Natalia!

Dziewczyna nie przestała biec. Widział ją na końcu półwyspu, gdzie zatrzymała się, bo nie było dokąd dalej uciekać.

Zabrało mu kilka minut, zanim dotarł na kraniec cypla, gdzie znajdowało się muzeum astronomii. Bolały go stopy i zwolnił krok. Podszedł do niej.

- Natalio Tiemerowna, czy jesteś w stanie nadal kochać swego wuja?

Zatrzymał się kilka stóp za nią. Dziewczyna obróciła się, wyciągając ręce i podbiegła kilka kroków ku niemu. Zarzuciła mu ramiona wokół szyi. Nie mógł widzieć jej twarzy. Patrzył na fale, czując jej ciało przytulone do torsu i brzucha, słysząc przez wycie wiatru szpazmy szlochu.

- Potrafisz nadal kochać swego wuja? - powtórzył pytanie cichym głosem, z ustami tuż przy jej uchu.

- Tak - odparła słabo.

Warakow uśmiechnął się. Nie zadał następnego pytania. Wiedział, że odpowiedź dotyczy Rourke'a i obawiał się jej.





tajemnicą, że pracował w CIA, był fachowcem od spraw przeżycia w trudnych warunkach, a poza tym lekarzem. Nie wiem, gdzie teraz jest. Właśnie tym zajmujemy się z dziećmi - szukaniem go. Powtarzam sobie, że i on nas szuka. Wiem, że szuka - poprawiła się natychmiast - Gdyby John, to jest mój mąż, robił coś takiego, wróciłby nocą do portu, wszedłby do wody, podpłynął do którejś łodzi i ukrał ją. Wziąłby ze sobą nóż - mówiła, podnosząc do oczu ostrze narzędzia, które podał jej Michael. - I przypuszczam, że użyłby go w razie potrzeby - dodała.

- Nie mogę pani na to pozwolić, pani Rourke.

- Czuję się już i tak wystarczająco stara, Harmon. Nazywaj mnie po prostu: Sarah - uśmiechnęła się.

## ROZDZIAŁ XVIII

- Cholera - burknął Paul Rubenstein. Postawił kołnierz, by zasłonić się przed wiatrem i zapytał, mrużąc pod nosem: - Czemu jest tak zimno w St. Petersburgu? - Rozejrzał się wokół, potem opuścił wzrok na Harleya oraz na "Schmeissera" wiszącego pod prawym ramieniem. Stwierdził, że w polu widzenia nie było nic, co mogłoby mu dać odpowiedź. Patrzył na drogę w dole, obserwując sunące po niej wojska. - Kubańczycy - mruknął do siebie.

Rubenstein zdjął okulary w drucianej oprawce, rozłożył stopkę motocykla, zsiadł i ruszył między drzewa, aby oddalić się od drogi i zasłonić przed wiatrem. Pochylił się nad ziemią i przykucnął. Żałował, że nie zaczął znowu palić.

W prześwitach drzew ciągle mógł dojrzeć drogę i bacznie ją obserwował, aby być pewnym, że oddziały wojsk, sunące poniżej nie zbaczają z obranego kursu, co mogłoby oznaczać, że w jakiś sposób wykryli jego obecność. Żałował, że nie zna hiszpańskiego. Wówczas, gdyby się do nich zbliżył, być może, mógłby się czegoś dowiedzieć.

- Nie każdy może być Johnem Rourke - powiedział półgłosem, uśmiechając się do siebie. Przez chwilę zastanawiał się, co robi jego kompan. Czy już odnalazł Sarah i dzieci? A jeśli nie, to jak długo jeszcze będzie kontynuował poszukiwania?

Obserwując drogę, Rubenstein grzebał w piasku czubkiem noża Gerber Mk II, który dał mu Rourke na podróż. Zaczął rozważać w myślach szczegóły ostatniej sytuacji, aby móc ułożyć jakiś plan. Przebywał już w okolicach St. Petersburga od blisko trzech dni. Samo miasto zostało częściowo zrujnowane; wszędzie wokół znajdowały się obozy dla internowanych i koncentracyjne. Oglądał twarze wewnątrz, za ogrodzeniem z drutu kolczastego. Przekonał się, że większość ludzi to starcy i przeważnie wydają się być Żydami, jak on sam. Było to jednak tylko odczucie, wiedział o tym. Być może wcale nie byli Żydami; może tylko uzbrojone straże i drut kolczasty sprawiały na nim takie wrażenie - widział filmy o obozach koncentracyjnych w czasie II wojny światowej. Zdecydował, że przynajmniej niektórzy musieli być Żydami.

Będąc nocą w mieście, zsiadł cicho z motocykla i przemknął się ukradkiem, omijając patrole komunistów kubańskich. Domu, w którym mieszkali jego rodzice, nie było. Stał wprawdzie budynek - jeśliby można zań uznać dach i trzy ocalałe ściany - ale po pożarze i widocznym splądrowaniu. Nie było ich tam. Sprawdził całe sąsiedztwo, usiłując przypomnieć sobie, które domy należały do znajomych jego rodziców. Żadnego adresu nie był pewien, ale i

żaden dom w sąsiedztwie nie wydawał się zamieszkały ani nadający się do zamieszkania.

- Muszę - wyszeptał do siebie, odrywając wzrok od drogi i patrząc na gmatwaninę linii, które wykreślił w piasku długim ostrzem noża. Był jeden duży obóz, większy niż kilka pozostałych razem wziętych. Gdzieś tam w środku, wmawiał sobie, mógł być ktoś, kto znał jego rodziców i może wiedział, co się z nimi stało. Jeśli nie żyli, musiał o tym wiedzieć. Na pewno.

Obozy koncentracyjne, przekonywał siebie, zostały utworzone po to, by pilnować ludzi wewnątrz, a nie na zewnątrz. Młody człowiek uśmiechnął się. Może po oględzinach głównego obozu i zorientowaniu się, co jest w stanie zdziałać, będzie mógł uwolnić niektórych więźniów. Rourke by tak zrobił, zdecydował.



Pióra, zapalniczki, takie rzeczy?

- Tak, chyba tak - odparła, tonem jakby nieco obronnym.

- No to miałaś szczęście. Ja nie miałem. - Rourke nie dodał nic nadto. Dwusilnikowy samolot-amfibia podpłynął już na fali do brzegu. John ruszył Harleyem w dół piaszczystego zbocza na jego spotkanie.









bioder. Ubrawszy go, opasała się aż nazbyt ciasno w talii. W drugiej walizce miała parę czarnych sandałów na wysokim obcasie. Odnalazła buty i założyła je.

Znów wróciła do lustra. Zdjęła kolczyki, odpięła naszyjnik i spojrzała na złotego Rolexa. Obliczyła czas idealnie - miała pięć minut spóźnienia.

Ruszając przez pokój, zatrzymała się przy toalecie i podniosła buteleczkę perfum "Chanell 9". Skropiła się na szyi i za lewym uchem, po czym wzięła z łóżka swą torebkę. Wyjęła z niej pistolet i otworzywszy sprawdziła, czy cztery 125-gramowe naboje są na miejscu. Zamknąwszy broń, schowała ją do torebki i przyciskając ją do siebie, skierowała się do drzwi. Westchnęła. Zpowiadała się długa noc.

## ROZDZIAŁ XXI

Sarah Rourke zsunęła się z szorstkiego pomostu do lodowatej wody. Odgarnęła z oczu włosy i rozejrzała się wokół, nasłuchując odgłosów innych niż chlupotanie wody o słupy podtrzymujące molo.

Wcześniej zastanawiała się, czy nie wziąć noża w zęby - poza filmami o piratach, widziała kiedyś Johna, gdy robił to wiele lat temu. Pływali wówczas z przyjaciółmi i jakieś dziecko zaplątało się w coś pod wodą. John bez namysłu, wyciągnął po prostu skądś nóż, włożył go między zęby i skoczył za burtę, by po paru chwilach pojawić się na powierzchni z uratowanym chłopcem.

Jednak zdecydowała się nie brać noża w zęby, rozumując, że gdyby go przypadkiem upuściła, spadłby na dno i byłby stracony.

Zaczęła płynąć, pracując energicznie stopami, by rozgrzać ciało i przyzwyczać je do zimna. Pływała niegdyś w szkole średniej i kontynuowała ten sport przez wiele lat, tak że potem potrafiła prawie pokonać Johna. Poruszając się jak najszybciej, zaczęła o tym myśleć. Potrafiła pływać niemal równie dobrze jak mąż. Czy tu był ten problem? Przypomniała sobie, jak siedziała kiedyś w swoim gabinecie w domu na farmie, a John pił kawę i obserwował jej pracę. Poprosiła go wtedy, żeby spróbował coś naszkicować. Był niechętny, ale Sarah upierała się i w końcu zgodził się. Nie chciał rysować z pamięci, ale do tego również go nakłoniła. Po dziesięciu minutach spojrzała - wbrew jego protestom - na szkic. Byli na nim dwaj mężczyźni walczący w dżungli. Szczegóły ich mięśni, kończyn, wyraz twarzy, detale otoczenia - wszystko to zostało oddane z niemal fotograficzną dokładnością. Jednak nigdy nie dokończył tego rysunku.

Sarah zaczęła się zastanawiać, czy istniało cokolwiek, czego John Rourke nie potrafiłby dokonać, wysilając się nieznacznie. Ale zdała sobie sprawę, że jej mąż nigdy nie wysilał się nieznacznie. Zawsze wkładał w to, co robił, całą duszę.

Zatrzymała się, wiosłując nogami w wodzie. Łódź, którą chciała ukraść, była tuż przed nią i poza odległym cieniem radzieckiego strażnika, na przeciwnym końcu mola nie było nikogo widać. Zanurkowała pod wodę, kierując się ku łodzi. Jej właściciel miał poczucie humoru, nadając nazwę "Akdół" - słowo "łódka" czytane wspak.

Domek na farmie opuściła wraz z Harmonem Kleinschmidtem, którego wraz z dziećmi wsadziła na Sama, konia Johna. Razem z nim jechał Michael, żeby dać jej znać, gdyby partyzant zaczął mdleć lub zsuwać się z siodła.







- Nie mam...

- Nie ma pan sił powietrznych, a nawet gdyby miał, potrzebowałby pan rozejmu z Kubańczykami. Prawdopodobnie potrzebna panu ich pomoc.

- Ich pomoc!

- Chyba znam sposób jej zdobycia: od Rosjan.

- Pan jest szalony, Rourke. Przecież oni pragną naszej śmierci.

- Być może - mówił Rourke. - Może też mają w tym swoją korzyść. Ale jeśli nie otrzymamy jakiegoś rozejmu na okres tych wydarzeń, może dojść do największej katastrofy, jaką znam w historii, wyłączwszy samą Noc Wojny.

Chambers popatrzył szklistymi i nieruchomymi oczyma na Rourke'a.

- Co mamy robić?

- Czy kapitan Reed mówił panu, że w U.S. II jest zdrajca?

- Zdrajca? Co pan chce przez to powiedzieć?

- Wyjaśnię to, ale teraz, żeby dotrzeć do generała Warakowa, muszę tego zdrajcę znaleźć, i to prędko. - Rourke odwrócił się twarzą do paleniska. Rzucił w płomień palące się cygaro. Ogień pozostał nieporuszony. John miał nadzieję, że to co powiedział prezydentowi, odniosło większy wpływ.



niemal tracąc równowagę, gdy brzeszczot wychodził z piersi Rosjanina. Widziała, jak latarka wzniosła się w górę, potem opadła. Zadała drugie pchnięcie.

Latarka upadła na pokład; Sarah poczuła coś ciepłego i mokrego na całej prawej dłoni. Lewą podniosła do ręki żołnierza, wciąż zaciśniętej na jej krtani. W oczach miała ciemność, próbując oderwać palce napastnika od swej szyi. Wreszcie runęła naprzód, przykrywając sobą pogrążone w mroku na pokładzie ciało. Puściła nóż, próbowała złapać oddech. Żołnierz był silny. Oburącz starała się rozewrzeć jego palce, rozluźniając nieco ich uchwyt. Sięgnęła za siebie, chwyciła latarkę i zaczęła nią tłuc w tę dłoń, aż palce odpadły od szyi.

Latarka wysunęła jej się z ręki. Gdy ją podniosła, zobaczyła na szkle czerwone odciski palców, jak preparat w podświetlonym mikroskopie. Dłonie miała lepkie od krwi.

Zaczęła się podnosić, lecz zatrzymała się. W przysiadzie, opierając się o ścianę, wyszeptwała:

- Boże... - Upuściła latarkę i zamknęła oczy. Ostrze noża rozcięło policzek Rosjanina i utkwilo w szyi. Te martwe oczy, wpatrzone w nią - wciąż je widziała.



- Seniorita Natalia, por favor...

Odwróciła się i spojrzała nań, odgarniając włosy z czoła.

- Co się stało, Diego?

Zbliżył się. Tym razem nie zrobiła nic, czekając spokojnie na to, o czym wiedziała, że jest nieuniknione.

- Co się stało, Diego? - powtórzyła.

- Próbujesz uwieść mnie czy sprowokować do uwiedzenia ciebie? - zapytał, z wodą ściekającą po wąsach i ciemnym owłosieniu na torsie.

- Nie bądź naiwny - odrzekła.

- Więc czemu jesteś tu ze mną teraz?

- Lubię ocean - odpowiedziała szczerze. Następnie, patrząc mu w oczy, dodała łagodnie: - Zimno mi.

Zrobił krok bliżej. Pozwoliła mu ująć się w ramiona, poczuła delikatny dotyk jego dłoni. Zamknęła oczy.



Rubenstein uśmiechnął się do tej myśli - teraz on zarekwirował nożyce do drutu.

Za pierwszą linią drutów ciągnął się pas ziemi o szerokości około dwudziestu pięciu jardów. Paul obejrzał go przez lornetkę Bushnella, którą miał z sobą (identycznej używał Rourke). Nie dostrzegł żadnych śladów świeżego kopania ani zagłębień w rzadko porośniętym trawą gruncie. Miał nadzieję, że nie jest zaminowany.

Za tym otwartym terenem było następne ogrodzenie, wysokie na dziesięć stóp, i mogło być ono pod napięciem. Nie był tego pewien, lecz fakt omijania go z daleka przez strażników dawał powody do zastanowienia. Dalej znajdował się kolejny pas odsłoniętego gruntu o szerokości mniej więcej dziesięciu stóp, a za nim - sześciostopowe ogrodzenie z drutu kolczastego. O nie opierali się ludzie, wyglądając na zewnątrz. Na co patrzyli - tego nie wiedział. Zastanawiał się, czy oni sami wiedzieli.

Od kilku godzin panowała ciemność; Paul śledził kolejne zmiany warty.

Zerknął na Timexa. Wcześniej postanowił wyruszyć dokładnie o tej godzinie, a było już pięć minut później.



zobaczyła twarz tego człowieka.

Krzyknęła przeraźliwie, wypuszczając ciało; po chwili zniknęło w mrocznej otchłani.

Sarah stała przez chwilę, cała się trzęsąc.

- Muszę już ruszać - wymamrotała pod nosem. Wychyliwszy się spojrzała w wodę i wydało jej się, że go zobaczyła, jego oczy wpatrzone w nią. Pobiegła w stronę steru. Z trudem utrzymywała równowagę na śliskim od krwi pokładzie.

## ROZDZIAŁ XXVII

Rubenstein rzucił okiem na zegarek. Biegając nisko pochylony, ruszył ku ogrodzeniu, ze Schmeisserem zawieszonym na prawym ramieniu i nożycami do drutu w lewej dłoni. Dostał lekkiej zadyszki, nim pokonał dystans do pierwszego płotu. A gdy doń dotarł, przycupnął jeszcze bliżej ziemi, manipulując już nożycami. Zaczynając od dołu ogrodzenia, wyciął pojedynczą lukę, wysoką na około cztery stopy. Z powodu ciężaru drutów potrzebne było jeszcze jedno wycięcie. Ciął poziomo ponad pierwszą lukę, po czym odgiął druty na zewnątrz, ku sobie i prześliznąwszy się w ciemności przez szparę, zamknął za sobą tę "bramę". Spojrzał w stronę wież wartowniczych i przypadł do ziemi, płaszcząc się ze Schmeisserem w wyciągniętej prawicy. Snop światła z reflektora przebiegł teren najwyżej na stopę od niego, po czym posuwał się dalej; to samo uczynił Rubenstein.

Biegając przez trawiasty grunt, kluczył - miał nadzieję, że w ten sposób uda mu się uniknąć wejścia na minę. Dopadł przeciwnej linii drutów, znów bez tchu. Wyciągnął już rękę, gdy nagle wstrzymał się, cofając ją. Na ziemi obok leżał na wpół spalony, martwy szczur.

- Pod napięciem - mruknął do siebie.

Paul rozejrzał się na boki, starając się prędko zdecydować, czy zawrócić, czy też może istnieje jakiś sposób pokonania przeszkody.

- Cholera! - zaklął, po czym porwał wielki nóż gerber i zaczął ryć w błocie zmieszonym z piaskiem. Skoro nie mógł przejść przez płot ani nad nim - postanowił przedostać się pod drutami. Zerknąwszy w górę, przylgnął do ziemi, wstrzymując oddech i niemal dotykając drutu gołą ręką. Krąg reflektora przesunął się środkiem terenu między ogrodzeniami, mijając go zaledwie o cale. Gdy tylko światło oddaliło się, zaczął dalej kopać.

Chociaż raz był zadowolony, że nie jest tak wielki i szeroki w barach jak Rourke. Wybrał ziemię dłońmi, powiększając jamę pod drutami. Reflektor wykonywał kolejną rundę, więc przypadł znów do ziemi, jak najbliżej płotu, zauważając tym razem, że światło omiata częściej i szybciej teren między ogrodzeniem wewnętrznym a zewnętrznym. Tamto przynajmniej nie było pod napięciem. Godzinę temu wszyscy więźniowie kompleksu zostali zapędzeni do namiotów, które służyły im za schronienie, i teren obozu opustoszał. Lecz wcześniej Paul widział ich ręce, twarze - wszystkie dotykające tamtych drutów. "Możliwe - myślał, zaczynając znów kopać - że to mniejsze ogrodzenie podłączono do prądu po odejściu ludzi." Musiał jednak zaryzykować.

Niewielki rów wydawał się już dosyć szeroki i wsuwając się weń akurat w porę, by

uniknąć kolejnego przejścia reflektora, zaczął przeciskać się na plecach pod ogrodzeniem. Nagle koszula wyszła mu ze spodni i na plecach poczuł dotyk ziemi.

Pociągnął, ale coś go zatrzymało. Przód koszuli był zaczepiony o kolec najniższego drutu. "Może w tym najniższym nie ma prądu - pomyślał - a może po prostu materiał koszuli go nie przewodzi." Nie wiedział. Wciągnął brzuch, żeby nie dotknąć kolca skórą. Spojrzał na boki i za płot widząc, że reflektor znów się zbliża. Krąg światła przejdzie mu przez stopy, ujawni jego obecność.

Poczuł w środku falę mdłości. Szalony pęd myśli nie dawał mu spokoju. Musiał zaryzykować. Łokciem okrytym rękawem koszuli dotknął ostrożnie drutu. Nic się nie stało. Rubenstein wyciągnął obie dłonie i odzepił koszulę z kolca, po czym prześliznął się pod ogrodzeniem. Reflektor omiótł ziemię w momencie, gdy stopy mężczyzny zdążyły uciec w cień. Był po drugiej stronie!

Paul podniósł się na klęczki. Przez chwilę patrzył na druty, by następnie sięgnąć do kieszeni skórzanej kurtki. Nie było tam nic, czego mógłby użyć, jednak musiał to sprawdzić. Wziąwszy nożyce do drutu, wsunął je pod najniższe pasmo ogrodzenia i używając jak szczypiec laboratoryjnych, chwycił martwego szczura i przeciągnął pod drutem ku sobie. Patrząc na przypalone stworzenie, wykrzywił kąćki ust z obrzydzenia. Nie cierpiał takich rzeczy. Podniósł nożycami szczura i rzucił go na drugi drut od dołu. Wówczas cofnął się, zasłaniając twarz prawą ręką. Zwłoki zawisły przez chwilę na drucie, smaląc się i ciskając elektryczne iskry. Żołądek Paula skurczył się i zdawało mu się, że zwymiotuje, lecz zamiast tego śledził reflektor, który znów się zbliżał. Rzucił się przez kilka stóp terenu do najniższego płotu i ukrył się przy nim. Nie zważając na możliwość porażenia, dotknął nożycami najniższego pasma, następnie wyższego.

- Bogu dzięki! - szepnął, wydając długie westchnienie. Gdy światło przesunęło się obok, zaczął przecinać druty, wykorzystując ten sam sposób, co poprzednio: około czterech stóp pionowo i mniej więcej trzy poziomo.

Obejrzawszy się przez ramię, z nożycami już w lewym ręku, odchylił wyciętą część ogrodzenia i przecisnął się przezeń na teren obozu.

Zagiął za sobą z powrotem druty i w przysiadzie, z uchwytem Schmeissera w prawej dłoni, zlustrował okolicę. Dostrzegł tylko jednego strażnika, który szedł powoli wokół terenu w odległości jakichś pięćdziesięciu jardów. Rubenstein ruszył w stronę najbliższego namiotu. Wsunął się do środka.

Paul zatrzymał się, gdy w nozdrza uderzył mu odór przyprawiający o torsje, a w uszach usłyszał brzęczenie rojących się w całym namiocie much. Spojrzał na twarze ludzi w żółtym świetle pojedynczej

żarówki, wiszącej na sznurze w centrum namiotu, wokół której kręciły się muchy i ćmy. Utrudzone twarze były młode i stare, niektóre we śnie, którego nie przerywało natręctwo owadów. Obok śpiącej kobiety kwiliło dziecko. Postąpił bliżej, zmiatając kopniakiem mysz ogryzającą nóżkę niemowlęcia.

Paul Rubenstein stał tam przez chwilę, ze łzami napływającymi do oczu i okularami zasłonymi nieco mgłą. W tym krótkim momencie poczuł wdzięczność do broni, którą niósł ze sobą, do nauk, które pozwoliły mu uniknąć podobnego losu. Był wdzięczny Rourke'owi za wszystkie lekcje przetrwania.

Przypomniały mu się słowa: "Moi bracia Amerykanie...", o których pomyślał wcześniej, poza drutami, na widok karalucha przy palmie. Rubenstein stał płacząc, z prawą pięścią zaciśniętą mocno na kolbie karabinu.

## ROZDZIAŁ XXVIII

Sarah stała za kołem sterowym rybackiej łodzi, spoglądając w stronę brzegu, by przekonać się, czy potrafi jeszcze dostrzec w mroku pana Coina. Nie potrafiła.

- Było ciężko, prawda, pani Rourke? - zapytał Harmon Kleinschmidt.

Spojrziała na młodego człowieka, siedzącego u jej stóp, podczas gdy ona stała przed przyrządami nawigacyjnymi.

Zanim odpowiedziała, popatrzyła ku rufie. Na brezencie przykrywającym krew młodego żołnierza drzemali Michael i Annie.

- Nazywam się Sarah - oświadczyła. - Nie musisz nazywać mnie panią Rourke. Nie jestem aż tak wiele starsza od ciebie. Tak, było raczej ciężko.

- Widziałem te plamy krwi. Musiałaś kogoś zabić, tak?

- Sądziłam, że dżentelmeni nie zadają takich pytań.

- Nie jestem aż tak bardzo dżentelmenem... a ty z pewnością też... Sarah.

Oderwała wzrok od wody z przodu, by ponownie spojrzeć na Kleinschmidta.

- Co masz na myśli? - zapytała, wciąż marznąc w przemoczonym ubraniu.

- Zaraz to wytłumaczę. To chyba nie w porządku, żebyś ty z dziećmi robiła dalej to, co robisz. Trzeba ci mężczyzny, żeby się wami wszystkimi zaopiekował. Chyba mógłbym się zgłosić na ochotnika. Lubię cię bardzo, Sarah.

Zapłonila się. Nie wiedziała, co odpowiedzieć temu mężczyźnie, czy raczej chłopcu. Nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat, może mniej.

- To uprzejmie z twojej strony, Harmon.

- To nie żadna uprzejmość, Sarah, mówię, co myślę.

- Wielu mężczyzn ma takie uczucia dla kogoś, kto im pomógł, jak na przykład pielęgniarka.

- To wcale nie tak - odparł stanowczo.

- Wiesz, lepiej teraz odpocznij - zaczęła.

- Mam dość odpoczywania, dość tej całej wojny, dość wszystkiego.

- Ja też - powiedziała szczerze. - Parę godzin temu zabiłam nożem człowieka. Mój syn Michael również kiedyś zabił. Od wybuchu wojny zabijałam ludzi. Bywaliśmy chorzy, zmarnięci, przemoczeni, obywaliliśmy się bez snu. Ja też mam tego dość.

- Słyszałem, że północno-wschodnia Kanada nie oberwała mocno. Spotkałem kiedyś faceta, co stamtąd wracał, przez całą drogę nie trafił na komuchów. Podobno miasto Nowy

Jork jest całe zniszczone, ale dalej, na północy, jest wciąż jak dawniej. Komuchy się tam nie pchają, bo pewnie im za zimno. Człowiek mógłby tam sobie ułożyć życie, z odpowiednią kobietą i dziećmi jak te.

Sarah spojrzała na niego pragnąc, żeby nie siedział tak blisko.

- Jak daleko jest ta wyspa?

- Trzymasz się wciąż wskazań kompasu?

- Uhm - przytaknęła.

- Jeszcze jakieś dwadzieścia minut. Tylko płyn przy wygaszonych światłach, żeby nas nie zauważyły łodzie patrolowe. Myślę, że moglibyśmy zabrać tę łódkę i dostać się nią do Kanady... Zostawić to wszystko za sobą...

- A co z ruchem oporu, z ludźmi w więzieniu, o których mówiłeś? - zapytała Sarah.

- Nie wiem... Ale chyba im nie pomogę, jak dam się zabić. Zrobiłem swoje. Zdaje się, że ty też zrobiłaś już swoje.

- Gdzieś tam jest mój mąż, który nas szuka.

- Nie wiadomo. Może nie żyje. A jeśli żyje, może myśli, że ty i dzieciaki nie żyjecie... Może znalazł inną kobietę.

- Może... - odrzekła Sarah. - Wszystko to jest możliwe. Ale jeżeli on żyje, to na pewno nas szuka. A powtarzanie sobie, że tak jest, to jedyna rzecz, która trzyma mnie przy życiu.

- A gdybym ci powiedział, że jest martwy? Albo tak bardzo zajęty życiem, że nie ma czasu ciebie szukać? A gdyby...

- A gdyby wojna wcale się nie zdarzyła? - Omiotła wzrokiem ciemny, oświetlony księżycem horyzont w poszukiwaniu jakiegoś śladu wyspy.

- Jak to się stało, że on nie był z tobą, kiedy to się zaczęło? To nie mój interes, wiem. Ale jak to było?

- My... - zaczęła. - Żyliśmy w separacji. Nic formalnego. Po prostu nie mogliśmy ze sobą wytrzymać przez ostatnie kilka lat. Przed samą wojną John wrócił. Zdecydowaliśmy się, postanowiliśmy spróbować jeszcze raz. To była moja wina, naprawdę. On chciał odwołać pracę, którą miał w Kanadzie, i zostać w domu. Ja powiedziałam, że potrzebuję czasu na zastanowienie, przemyślenie, żeby zacząć od nowa. Noc Wojny wypadła w czasie, kiedy miał wracać do mnie.

- Samochodem?

- Nie, samolotem.

- Z Atlanty nic nie zostało, Sarah, jeśli on tam wylądował. Słyszałem, że mnóstwo samolotów pasażerskich rozbiło się, kiedy zabrakło im paliwa i nie miały gdzie lądować albo

po prostu wyleciały w powietrze, przeleciały za blisko rakiety czy wybuchu jakiejś bomby. On nie żyje... na pewno.

- Nie znasz mojego męża - odparła. - On jest inny niż ktokolwiek, kogo znasz.

- Jest jakimś supermanem, czy co?

- W pewnym sensie, chyba tak. Michael jest do niego bardzo podobny. Nie spodziewałabym się po chłopcu trzy razy starszym od niego tego, co on zrobił. To nie jest normalne.

- Co masz na myśli? - zapytał Kleinschmidt.

Księżyc przysłoniła chmura. Sarah nie widziała już młodej, zmęczonej twarzy Harmona, kiedy spojrzała w dół, w miejsce, gdzie siedział obok jej nóg, oparty o burzę.

- John Rourke jest prawie doskonały, naprawdę. Wydaje się, że wszystko umie, potrafi wszystko zrobić, rozwiązać każdy problem. On nie jest podobny do ciebie - oświadczyła Kleinschmidtowi. A po chwili dodała tak cicho, żeby nikt prócz niej samej nie słyszał: - Ani do mnie.

## ROZDZIAŁ XXIX

Rubenstein poruszał się od namiotu do namiotu uważając, żeby nie zdradzić swojej obecności. Po wyjściu z pierwszego namiotu zwymiotował. Potem rozmawiał ze starszym mężczyzną, który nie spał, odpędzając muchy od ropiejącej rany na nodze. Światła w namiotach pozostawiano całą noc, aby mieć pewność, że nikt nie wychodzi i aby ułatwić inspekcję zagląającym wartownikom. Nie było żadnych wygod sanitarnych ani warunków do pielęgnacji małych dzieci, a niektórzy strażnicy - jak wyznał starzec - lubili znęcać się nad ludźmi. Byli wśród nich i uczeni, lecz ci nie robili nic, kiedy inni zaczęli bić więźniów.

Starzec nigdy nie słyszał o emerytowanym pułkowniku sił powietrznych Dawidzie Rubensteinie ani o jego żonie.

Paul zatrzymał się teraz przed następnym namiotem, już piątym z kolei. Potrząsnął głową, zmusił się do wejścia, pochylając się nisko. Nadal starał się pozostać nie zauważony. Nie był pewien, czy odór w tym namiocie nie był aż tak obrzydliwy, czy też już się do niego przyzwyczył. Było tu więcej dzieci - zmęczone twarze, zapadnięte oczy, wydęte brzuchy. Starzec - Rubenstein nie zapytał go o nazwisko - mówił, że większość dorosłych oddaje sporo swej żywności dzieciom i młodym matkom. A dzienny przydział jedzenia dla każdego dorosłego składa się z miski kaszy i niedobrej wody, dodatkowo dwa razy w tygodniu dawano rybę lub mięso. W kaszy było robactwo, a ryby i mięso zwykle cuchnęły. Wielu ludzi w obozie miało dyzenterię, tak mówił starzec.

Rubenstein szedł przez namiot, szukając rodziców, szukając znajomej twarzy i nie będąc pewnym, czy rozpoznałby kogoś z przyjaciół rodziców. W przeciwnym końcu siedziała kobieta z dzieckiem w ramionach, dziecko miało ciężki oddech. Nie spała i gdy ją mijął, zapytała szeptem: - Ktoś ty?

- Nazywam się Paul Rubenstein - powiedział, rozglądając się po namiocie.

- Co tu robisz?

- Szukam moich rodziców. Zna ich pani? Ojciec jest siwowłosa, na imię ma Dawid. Matka nazywa się Rebeka Rubenstein. Ojciec był pułkownikiem lotnictwa, zanim odszedł na emeryturę.

- A więc nie ma go tutaj - oświadczyła kobieta.

Paul wciągnął powietrze zastanawiając się, o co kobiecie chodzi; obawiał się zapytać.

- Nie może być tutaj. Ja też miałam być w innym miejscu - mówiła, odpędzając muchę. - Ale byłam w ciąży, więc zostawili mnie tutaj. Straciłam dziecko - ciągnęła głosem

nie zdradzającym cienia emocji. - Nie wiem, co potem z nim zrobili. Nigdy mi o nim nie mówili... to był chłopiec. Mój mąż Ralf byłby z niego dumny, takie ładne dziecko. Ralf też jest z lotnictwa, dlatego go zabrali. Do jakiegoś obozu specjalnego koło Miami, dla wojskowych i ich rodzin. Mam nadzieję, że nic nie zrobili Ralfowi. Nazwałabym dziecko Ralf, po ojcu. To był śliczny chłopak. Nie wiem, co z nim zrobili. Nazwałabym go Ralf, wiesz?

Rubenstein popatrzył na nią, szepnął: "Przykro mi" i wyszedł z namiotu. Przykucnął przed wejściem, płacząc cicho.

- Niech ich szlag - burknął.

Zaczynało padać, a w dali, pod ciemnymi chmurami dało się widzieć cienki sztylet słonecznego światła, lekko czerwony. Obóz wkrótce się obudzi; musiał wydostać się, nim go złapią. Obejrzał się na namiot. Słyszał, jak kobieta mówi do siebie.

Powziął decyzję. Zamierzał pojechać do Miami i odnaleźć rodziców, w jakimkolwiek przeklętym obozie by byli, o ile w ogóle jeszcze żyją. Ale najpierw miał zamiar zrobić coś tutaj. Nie wiedział jeszcze, co. Był tu ten człowiek z Wywiadu Wojskowego. "Może on mógłby pomóc" - pomyślał Rubenstein.

Paul wtulił się w płótno namiotu. Usłyszał hałas, warkot silnika. Spojrzał na prawo - zbliżał się amerykański jeep wojskowy, w środku jechało trzech Kubańczyków. Deszcz zaczął teraz lać strumieniami, zerwał się porywisty wiatr. Rubenstein poprawił okulary, odgarnął z czoła czarne, rzędzące włosy. Pociągnął rączkę zamka Schmeissera, ładując go.

Paul Rubenstein podniósł się na nogi, stając prawie na wprost jeepa, którego reflektory rzucały światło tuż na lewo od niego. Wydobywając z płuc całą moc, młody człowiek krzyknął:

- Żreć ołów, sukinsyny! - I pociągnął za spust Schmeissera. - Kontrolowanie cyngla! - zawołał, powtarzając wieczne ostrzeżenie Rourke'a, aby przyciskać i popuszczać spust, utrzymując serie po trzy pociski z trzydziestu sztuk w magazynku. Kierowca jeepa upadł na kierownicę, człowiek obok poszedł w jego ślady, a trzeci, siedzący z tyłu, wyciągnął pistolet. Paul nacisnął ponownie spust Schmeissera, pakując trzy kule w pierś mężczyzny. Kubańczyk runął w tył, staczając się w błoto.

Rubenstein biegł obok samochodu, który pędził teraz prosto na jeden z namiotów.

Paul skoczył od przodu, stawiając lewą nogę w samochodzie i jednocześnie ręką odpychając martwego Kubańczyka zza kierownicy.

Wyhamował ostro, zauważając po raz pierwszy, że nad obozem snuje się szare światło. Świtało. Przeturlał ciało pasażera, a następnie kierowcy przez prawą burtę wozu,







roztargnieniem, czy odnalazł już swoją żonę i dzieci. Gdyby był z nimi, to chyba uprościłoby sytuację. Wówczas on nie miałby powodu, aby o niej myśleć, a ona wiedziałaby, że jest nieosiągalny.

Natalia uśmiechnęła się. Była pewna, że jeśli ma walczyć z czymś, co mieszka tylko w sercu Rourke'a, nigdy nie będzie w stanie zwyciężyć.





w nich ujrzała.

- Więc wprowadźcie łódź na płyciznę, tam dalej wzdłuż plaży. - Mary Beth wskazała kierunek pistoletem. - Przycumujcie ją i zamaskujcie. Jak Ruskie wypatrzą tu łódź, na pewno zaczną nas szukać.

- Zgoda - rzekła Sarah.

- No to chodźmy - powiedziała Mary Beth uśmiechając się. - Zaprowadzę cię i przypilnuję dzieciaków. Dziewczęta pomogą zaprowadzić Harmona do jaskini. A potem chyba wszyscy pomożemy ci z tą łodzią. Idziemy. - Ruszyła do dzieci, ale Michael objął siostrę i nie pozwalał się prowadzić. Mary Beth popatrzyła na rodzeństwo. - Bądź grzeczny, chłopcze. Rób to, co inni.

- Zobaczysz - szepnął Harmon Kleinschmidt. - Wszystko będzie dobrze.

Sarah tylko nań popatrzyła. Był jedynym dorosłym mężczyzną na wyspie i nie potrafił zrobić dwóch kroków bez czyjejś pomocy. Pokręciła głową, drżąc lekko. Wcale nie sądziła, że wszystko będzie dobrze.

## ROZDZIAŁ XXXIII

John Rourke czekał w cieniu przy rogu budynku obserwując. Chambers zwołał zebranie nadzwyczajne, nie zawiadamiając o przybyciu Johna, lecz ujawnił obecność Sissy Wiznewski. Prezydent poinformował doradców o grożącej Florydzie katastrofie, powiedział im o wszystkim, co nie miało związku z planem Johna, dotyczącym wykrycia zdrajcy. Jeszcze przed zebraniem Chambers wybrał jedenastu mężczyzn, Rourke był dwunastym. Tych dwunastu zostało wyselekcjonowanych spośród Wywiadu Wojskowego. Byli to ludzie, którzy według prezydenta, cieszyli się zaufaniem Reeda.

Wreszcie zebranie zakończono. Rourke czekał. Przez czysty przypadek zdecydował się śledzić Randana Soamesa, dowódcę Ochotniczej Milicji Teksasu. Każdy z pozostałych mężczyzn miał również śledzić jednego doradcę. "Gdyby ktoś opuścił teren, byłby to prawie niezbity dowód, iż to on jest zdrajcą" - stwierdził Rourke.

Obserwując teren w poszukiwaniu jakiegoś śladu Soamesa, Rourke myślał o tym, że sprawa nie ogranicza się, niestety, do znalezienia zdrajcy. Po wykryciu go trzeba będzie śledzić jego ruchy, aby dotrzeć do ludzi czy środków, za pomocą których porozumiewa się z Sowietami. A przez ten łańcuch mógłby skontaktować się z Warakowem. Czas już wymykał się z rąk i istniała niewielka nadzieja na ewakuację.

John postawił kołnierz kurtki, zasłaniając szyję przed zimnym wiatrem. Swój pas z bronią zostawił przy motocyklu. Gdy zapiął skórzane odzienie, sprawdził bliźniacze "czterdziestki piątki" Detonics w podwójnej pochwie Alessi pod pachą - były bezpieczne, a zapasowe magazynki znajdowały się przy pasku spodni w specjalnych kieszeniach, zabezpieczających przed tarcieniem.

Wciąż czując zimno, Rourke wcisnął się w niszę, przy której stał. Nagle znieruchomiał. Przez teren w kierunku bramy szedł Randan Soames, ubrany w Levis'y i kraciastą koszulę w westernowym stylu, na głowie miał czarnego Stetsona. "To zbyt łatwe" - pomyślał Rourke. Gdy tylko Soames zniknął za bramą, John rzucił się za nim w pościg, a dopadłszy bramy, kiwnął na wartownika i wyrzwał na drogę, Soames szedł powoli. Rourke zwrócił się do strażnika. Zarówno ludzie z wywiadu, jak i z żandarmerii wojskowej byli pod rozkazami Reeda.

- Czy ten człowiek mówił, dokąd wychodzi, kapralu?

- Nie, proszę pana... Chyba po prostu na spacer. On wiele spaceruje, niektórzy inni też.

- Na jak długo zwykle wychodzi?

- Pan nazywa się Rourke, prawda?

- Racja, synu - odrzekł John.

- Około pół godziny. Ale gdyby chodził gdziekolwiek pieszo, przez ten czas mógłby dotrzeć tylko do miasta, żeby zdążyć wrócić. Miasto jest teraz opuszczone i nie miałby tam czasu na nic więcej niż zawrócić i przyjść z powrotem.

- Czy zawsze chodził tą drogą? - zapytał Rourke, wskazując ulicę.

- Przynajmniej za każdym razem, kiedy go widziałem, proszę pana.

- Dziękuję, kapralu. - Rourke uśmiechnął się i ruszył ulicą w ślad za Soamesem, trzymając się muru ogradzającego teren, dopóki mężczyzna nie zniknął za wzniesieniem. Wówczas zaczął biec ile sił w nogach, by dotrzeć do wzniesienia i paść tam obok drogi.

Randan Soames nie szedł prędko, nie oglądał się - nie miał żadnych powodów do podejrzeń. Rourke czekał. Może rzeczywiście Soames szedł tylko na przechadzkę - dla mężczyzny w jego wieku zdawało się to całkiem naturalne, a cały dzień pracy za biurkiem mógł zmęczyć każdego. Obserwował, jak Soames pokonuje kolejne wzniesienie - nie było nawet widać, żeby miał broń. Rourke nie widział, żeby ktokolwiek w tych czasach wychodził nie uzbrojony, chyba że był kompletnym idiotą.

John podbiegł do następnego wzniesienia w samą porę, żeby zdążyć dojrzeć, jak Soames rzuciwszy spojrzenie za siebie, skręca ku grupce drzew. Rourke patrzył i czekał myśląc, że w drzewach może być ukryte radio. Ale gdy zaczął się podnosić, by ruszyć w stronę drzew, Soames pojawił się ponownie, pchając przed sobą niewielki motocykl. Była to Honda, jedna z tych produkowanych wiele lat wcześniej i projektowanych z zamiarem pomniejszenia rozmiarów, kierownicę miała składaną dla ułatwienia przechowywania. John czytał kiedyś coś na temat tego pojazdu. Prędkość maksymalna wynosiła trzydzieści pięć mil na godzinę.

Soames rozejrzał się po drodze, po czym dosiadł motocykla, zapuścił silnik i ruszył w kierunku opustoszałego miasta.

Rourke zrozumiał teraz, w jaki sposób szpiegowi udawało się tak prędko odbyć swój "spacer", sprawiając jednocześnie wrażenie, że gdyby dochodził do miasta, nie miałby tam na nic czasu. "Musiało być ryzykowne trzymać tutaj motocykl" - pomyślał Rourke. Lecz wszakże szpiegostwo też nie było bezpiecznym zajęciem.

Jedyne, co mu teraz pozostało, to biec. Rourke ruszył w dół wzniesienia. Żałował, że nie był na tyle przezorny, by zostawić w pobliżu własny motocykl. Żałował też, że nie może wezwać przez radio jakiegoś środka transportu. Ale nie miał pojęcia, na jakiej częstotliwości Soames kontaktuje się z Sowietami i użycie radia było wykluczone. Biegł więc ile sił w

nogach, zdejmując z pleców skórzaną kurtkę i ściskając ją w lewej dłoni.

Musiał liczyć na to, że Soames kieruje się do miasta i pozostawi motor na lub przy drodze. Tym małym motocyklem nie dało się jechać przez teren poza jezdnią - przynajmniej taką nadzieję żywił Rourke. Droga - jak pamiętał z przestudiowanej wcześniej mapy - wiała się, omijając nierówności gruntu i Rourke pobiegł teraz na skróty.

Kiedy drogą przed nim przejeżdżał Soames, zsunął się po niskim nasypie i staczając się w jakieś krzaki, przywarł do ziemi. Gdy motocykl go minął, Rourke podniósł się i przeskoczył przez jezdnię. Pobiegł trawiastym polem i dotarł znów do drogi akurat w miejscu, gdzie zaczynała skręcać do miasta. Z twarzą i szyją ociekającą potem, z rękoma pracującymi w przód i w tył jak u długodystansowca, John biegł dalej, by nie stracić z oczu Randana Soamesa.

Kiedy Soames skręcił, zatrzymał się i zanurkował do rowu przy drodze.

Dowódca paramilitarnych sił zbrojnych Teksasu zahamował motocykl i obejrzał się za siebie, a potem na boki. Rourke, wyglądając zza wysokiej trawy, dostrzegł uśmiech na jego twarzy. Motocykl ruszył dalej drogą w kierunku miasta.

Rourke wyskoczył z rowu i przekroczywszy jezdnię, ruszył równoległe do niej. Miał nadzieję, że Soames go nie zauważy, gdyby się obejrzał w tył. Wreszcie John dobiegł do budynku na skraju miasta.

Znak drogowy wyznaczający granice miasta był przewrócony, ale Rourke oceniał na podstawie zabudowań i ulic, że przed wybuchem wojny było to miasto zamieszkałe przez trzy do czterech tysięcy ludzi.

Wyjrzał zza węgła pustej remizy strażackiej, przy której stał. Soames skierował motor na ulicę prowadzącą w przeciwny koniec miasta.

Rourke zaczął znowu biec, czując ból w płucach. "Za dużo cygar" - pomyślał.

Mijał bloki, wybite okna sklepów, skrzynkę pocztową, przewróconą widocznie przez jakiś samochód spieszący się przy ewakuacji, odkręcony hydrant pożarowy, z którego wciąż kapały krople wody. Dobiegł do przecznicy i spojrzał na nią, by się upewnić, czy Soames go nie zwodzi, czy nie zawrócił. Potem ruszył dalej.

Przy ulicy był szeroki pas wypalanej trawy, na którego przeciwnym końcu stał kościół baptystów. Rourke zatrzymał się na chwilę dla złapania tchu, patrząc na kościół.

- Czemu nie został zniszczony? - zapytał siebie na głos, po czym potrząsnął głową i kontynuował pościg.

Miał do pokonania ostatni odcinek ulicy do miejsca, w którym Soames skręcił w przecznicę. Rourke dopadł wreszcie ściany narożnego budynku - kiedyś musiał się tu mieścić

jakiś urząd - i oparł się oń ciężko, by wyrzeć zza węgła.

Przez chwilę serce w nim zamarło. Soames zniknął. Na drugim końcu ulicy, o jakieś dwie przecznice dalej, było natomiast widać potężny stadion i boisko lekkoatletyczne.

Rourke przyjrzał się dokładniej. Wydawało się, że stadion musiał kosztować więcej niż wszystkie pozostałe budynki miasta razem wzięte.

John sięgnął pod lewą pachę, wydobywając z pochwy jeden z Detonics'ów. Odbezpieczył go, pochylił się nisko i dalej ruszył biegiem, trzymając się blisko ścian mijanych budynków. Przeciął poprzeczną ulicę, po czym zwolnił, mając do stadionu nie więcej niż dwieście jardów. Widać było jeszcze białe linie na żuźlowej bieżni, za którą wznosiły się trybuny.

Jakiś wewnętrzny głos podszeptał Rourke'owi, że Soames jest właśnie tam. Wiatr znowu zaczął wiać. John założył z powrotem skórzaną kurtkę. Następnie ruszył wolnym truchtem przez boisko, wyciągnął spod prawego ramienia drugiego Detonics'a i odbezpieczył go.

Zatrzymał się przy wejściu na stadion, oglądając pył na betonowej powierzchni. Uśmiechnął się. W piasku widział prawie niedostrzegalny ślad opony.

Rourke ruszył wejściowym tunelem, a gdy dotarł do jego końca, omiół wzrokiem nieckę stadionu, mrużąc oczy w blasku słońca mimo ciemnych okularów. Widocznie rozgrywane tu mecze były transmitowane przez lokalne radio. Obok łoży na górze, po przeciwnej stronie trybun, była niska antena. Nadany przez tego rodzaju antenę sygnał mógł być przyjęty przez odbiornik o dość dużej mocy w promieniu około pięćdziesięciu mil.

Nie było widać żadnego śladu Soamesa ani jego motocykla.

Rourke wszedł po niskich, betonowych schodach na trybunę główną, po czym ruszył po obwodzie stadionu ku łoży i antenie.

Z Detonics'em w każdej dłoni John posuwał się wolno, rozglądając się na boki. Nie dbał już o to, czy Soames wykrył jego obecność, ponieważ nie było miejsca, gdzie szpieg mógłby uciec. Mógłby wprawdzie zniszczyć radio, ale to było mało prawdopodobne. Zamiast niszczyć środek kontaktu ze swymi sowieckimi mocodawcami, będzie raczej próbował o niego walczyć. Być może Soames miał broń ukrytą gdzieś na stadionie; może schował ją przy sobie - krótki rewolwer w pochwie albo średniej wielkości automat za cholewą kowbojskiego buta. "To bez znaczenia" - pomyślał Rourke.

Zatrzymał się w pół drogi wokół stadionu obok łoży reporterskiej. Antena była przerdzewiała od deszczu, ale wyglądała na odnowioną, biegł od niej błyszczący kabel koncentryczny, który przechodził przez - jak się zdawało - świeżo wywiercony otwór w

betonie pod trybuną główną.

Rourke rozejrzał się wokół, szukając wzrokiem najbliższych schodów, prowadzących do kompleksu pod trybunami. Znalazłszy je, ruszył w tę stronę, by zatrzymać się na szczycie stopni. Spojrzał na pistolety w dłoniach, trzymając je, jakby ważył ich ciężar.

Z bronią gotową do strzału, z łokciami przyciśniętymi do boków - pomyślał, że musi wyglądać jak kowboj z niemych filmów - biegł po schodach w dół.

Zatrzymał się w połowie drogi, by poprawić okulary przeciwsłoneczne.

Dotarłszy do podnóża schodów, znieruchomiał z jedną nogą na ostatnim stopniu i drugą na betonowej posadzce tunelu. Wstrzymał oddech nasłuchując. Głosy. Usłyszał dwa głosy; słowa były niezrozumiałe, lecz dosyć wyraźne, by rozpoznać angielski. Dochodziły z przeciwnego końca tunelu.

Rourke zaczął iść, przyciskając ciało do szorstkiego betonu ściany. Pistolet w prawej ręce miał uniesiony, ten w lewej trzymał przy udzie.

Usłyszał głosy wyraźniej. Zatrzymał się, widząc czarną linię koncentrycznego kabla, który schodził z góry i biegł wzdłuż tunelu do końca. Rourke zdjął okulary i włożył do futerału pod kurtkę, po czym powoli i ostrożnie ruszył naprzód.

Teraz potrafił już rozróżnić słowa rozmowy, przynajmniej częściowo. Jeden z głosów należał do Soamesa:

- Nie dbam o to, Weskowicz. Czym tu się martwić? Co wielkiego się stanie, jak to cholerne trzęsienie ziemi zabije kolejnych Amerykanów i garść tych zawszonych Kubańczyków? Tak czy owak, twoich dowódców gównem oni obchodzą.

- Mądrze zrobiłeś, żeś przyszedł - zaczął drugi głos, Weskowicza, jak domyślał się Rourke. - Ale nie masz racji. Musimy się skontaktować z kwaterą główną. To poważna sprawa. Na Florydzie może w tej chwili pracować wartościowy personel. Przynajmniej ich trzeba stamtąd wydostać. Nie do mnie ani do ciebie należy rozsądzać, kto ma żyć, a kto umrzeć. Mówisz o katastrofie, która może pochłonąć miliony istnień. Chciałbyś to wziąć na swoje sumienie?

Rourke, stojąc w mroku przy ścianie, uśmiechnął się. Agent sowiecki, prawdopodobnie z KGB, wydawał się niemal ludzki. Natomiast Soames sprawiał wrażenie krwiożerczego zwierzęcia. John posunął się naprzód, jeszcze wolniej i ostrożniej, gdyż nie widział przed sobą w cieniu dalej niż na sześć stóp.

Zatrzymał się nagle, wstrzymując oddech i przeklinając w myśli. Pochylił się i roztarł gołęń prawej nogi, którą uderzył przed chwilą w motocykl Soamesa. Widocznie do tunelu prowadził jakiś podjazd. Rourke wsunął Detonics'a za pasek spodni i odnalazłszy wentyl przy









ruszyła w przeciwny kąt pieczary, by znaleźć suchą odzież. Nie było czasu do tracenia w czczych dyskusjach z dziewczętami. Poczła się jakoś jeszcze bardziej głupio.

- Zrobię to - powtórzyła jeszcze raz nie obracając się. Modliła się tylko w duchu, żeby wiedzieć jak.



- Widział pan na własne oczy ten wydruk sejsmografu?
- Jeden arkusz. Reszta przepadła razem z jej motocyklem.
- Jest pan człowiekiem nauki. Czy to wszystko jest możliwe?
- Chyba tak - przyznał John.
- I prosi pan mnie o zawarcie rozejmu między waszymi siłami U.S.II i Sowieciami?
- Czasowego rozejmu, oczywiście.
- Oczywiście. A co z Kubańczykami? Myśli pan poważnie, że uwierzą panu... albo mnie?
- Jeżeli potrafimy ich skłonić do potraktowania tego wystarczająco serio, przypuszczam, że sami się ewakuują. A wówczas mogą wkroczyć pańscy i nasi ludzie, by przystąpić do ewakuacji ludności cywilnej.
- Dlaczego miałbym to zrobić?
- Nie wiem - odrzekł Rourke szczerze, wpatrując się w głośnik nad radiem, jak gdyby mógł w jakiś sposób ujrzeć w nim twarz Warakowa. - Nie wiem - powtórzył.
- Ale uważa pan, że jednak to zrobię?
- Tak, myślę, że tak, o ile będzie pan mógł.
- Tam jest Natalia, na misji razem z pułkownikiem Miklowem. Mają przeprowadzić z Kubańczykami rozmowy na temat kilku pomniejszych trudności. Mogę się z nią skontaktować, żeby przekazała tę wiadomość kubańskiemu dowódcy. Ale pan musi zrobić dwie rzeczy.
- Jakże? - zapytał cicho Rourke.
- Sądzę, że ta kobieta... Wiznewski, z tym dziwnym imieniem... musi jechać na Florydę, pokazać ten kawałek papieru i porozmawiać z dowódcą Kubańczyków. I pan chyba również powinien pojechać. W razie konieczności, obiecuje pan nie ewakuować się, zanim nie uczyni tego major Tiemerowna. Zgoda?
- Dlaczego pan to mówi?
- Ona zostanie, żeby pomóc w ewakuacji... Wie pan o tym.
- Przypuszczam, że tak - rzucił Rourke do mikrofonu, mając nagle umysł wypełniony jej obrazem: ciemne włosy, jasnoniebieskie oczy, jej ciepło i zarazem odwaga. - Tak, na pewno to zrobi. Zgadzam się. Nie wyjadę bez niej. I przypuszczam, że ta dziewczyna powinna tam pojechać. Ale kiedy tylko Kubańczycy dadzą się przekonać, muszę otrzymać kontakt z waszymi dowódcami sił wyjątkowych. Mój przyjaciel Paul Rubenstein jest teraz na Florydzie. Nie jestem pewien, gdzie dokładnie.
- Ten Żyd? Ja chyba wiem. Na początku myśleliśmy, że to był pan. - Warakow

zreferował Rourke'owi po krótko raport wywiadu radzieckiego, dotyczący przeprowadzonego w pojedynkę ataku na kubański obóz więzienny.

Młody człowiek walczył podobno "jak lew", a większość więźniów obozu stanowili Żydzi. - To musiał być Rubenstein. Dobrze, pomożemy panu go odnaleźć, w zamian za dopilnowanie major Tiemerowej.

- Była kapitanem - zauważył Rourke.

- Awansowałem ją... za dzielną postawę. Rozumie pan? Rourke uśmiechnął się, żalując przez chwilę, że nie może zobaczyć twarzy swego rozmówcy. Czy jego oczy były smutne? Czy też pozostała w nich odrobina humoru?

- Tak, generale. W jaki sposób będziemy się kontaktować? Mógłbym zabrać ze sobą to radio do kwatery.

- Dobrze - padła odpowiedź po krótkiej pauzie. - Porozmawiam z panem Chambersem i omówimy szczegóły zawieszenia broni. Czy pan...

Rourke uśmiechnął się znowu.

- Soames? Ten od czynów nierządnych z dziećmi? Czy go zabiłem?

- Tak... Przypuszczam... - Głos urwał się.

- Wasz człowiek, Weskowicz był bardzo dzielny i zginął z honorem. Jeśli miał rodzinę... - Rourke zawiesił głos.

- Dopilnuję, żeby się dowiedzieli. Do widzenia, Rourke. - Radio zamilkło.

John siedział obok niego w żółtym świetle, nic nie mówiąc. Przed oczami przesuwały mu się różne obrazy. Czasem twarz, czasem sposób stania lub chodu... a czasem, o ile można to zobaczyć w wyobraźni, był to głos. Natalia. Wiedział, że znowu mają się spotkać.

## ROZDZIAŁ XXXVI

- Faktem jest, generale Santiago, że jeśli te nieprzemyślane akcje waszych dowódców liniowych przy granicy będą się powtarzać, nie przysłuży się to sprawie harmonii w stosunkach między waszymi i naszymi ludźmi - oświadczył Miklow nienagannym hiszpańskim. Następnie odchylił się znad stołu i zdawał się obserwować ponad dzielącym ich, wypolerowanym blatem twarz kubańskiego dowódcy.

Natalia przed wojną często grywała w tenisa. Jednakże zawsze bardziej lubiła obserwować mecze w wykonaniu dobrych przeciwników. Gdy teraz zwróciła wzrok na Santiago, miała podobne odczucie. Do generała należało teraz odebrać zaserwowaną przez Miklowa piłkę lub przegrać mecz.

- Ale według doniesień moich dowódców liniowych, pułkownik Miklow, nie miały miejsca tego typu incydenty, poza wykonywaniem normalnego patrolowania i ściganiem usiłujących zbiec partyzantów ruchu oporu czy im podobnych. Nie było żadnych umyślnych wypraw na terytorium waszego kraju.

Natalia spojrzała z powrotem na Miklowa uśmiechając się.

- Jednakże, generale Santiago, musi pan zdawać sobie sprawę, że niezależnie od przyczyn tych wypraw przez granicę, naprawdę niewiele mają one wspólnego z umacnianiem harmonijnych stosunków. Żywię nadzieję, że potrafimy definitywnie je powstrzymać i w tym celu tu przybywam - aby przedyskutować te problemy oraz opracować wzajemnie korzystne rozwiązanie.

Natalia zaczęła odwracać się do Santiago, lecz naraz jej wzrok zatrzymał się na wkraczającym do pokoju śniadym stewardzie w białym uniformie. Ten stanął obok Santiago i postawił przed nim srebrną tackę. Generał podniósł z niej złożoną notkę i odesławszy stewarda skinieniem głowy, rozłożył ją i przeczytał. Następnie spojrzał na Natalię i oświadczył:

- Moja droga major Tiemerowna, jest do pani wiadomość radiowo-telefoniczna. Jeśli pani sobie życzy, może odebrać ją przez telefon w swoim pokoju.

- Dziękuję. - Natalia wstała i zarówno Santiago, jak Miklow zaczęli się podnosić. - Nie trzeba, panowie - rzuciła, przesuwając się obok stołu i po drodze dotykając lewą dłonią epoletów na ramieniu Santiago.

Czując na sobie wzrok Kubańczyka, przeszła przez pokój i wyszła. Zamknąwszy za sobą podwójne drzwi, oparła się o nie na chwilę, patrząc na dywan pod stopami. Wreszcie

ruszyła do schodów i wbiegła na drugą kondygnację domu. Dotarłszy do swego pokoju, usiadła na brzegu łóżka i wygładzając spódnice, podniosła słuchawkę telefonu. Zanim przytknęła ją do ucha, odpięła kolczyk.

- Major Tiemerowna, słucham - rzuciła do mikrofonu.

- Natalio, słuchaj uważnie - usłyszała głos swojego wuja. - Kontaktował się ze mną Rourke i przekazał ważne wiadomości. Skorzystał z jednego z naszych własnych aparatów radiowych. Ale nie to jest istotne. Słuchaj uważnie.

Natalia spojrzała na swoje kolana, by następnie powędrować oczyma przez skraj jasnobłękitnej sukienki, wzdłuż obnażonych nóg ku stopom, a potem przez niebieski dywan do oszklonych drzwi, wychodzących na balkon i za odsłonięte kotary. Za oknem widziała ocean.

- John Rourke - szepnęła do telefonu. Wysłuchała, jak wuj mówił o zbliżającej się zagładzie Florydy, o spotkaniu, które miała zaaranżować między Rourke'em i tą Wiznewski a generałem Santiago pod flagą zawieszenia broni. Wysłuchała tego wszystkiego, ale w pamięci utkwiły jej tylko słowa: "John Rourke". Znowu go zobaczy...

Przez kilka minut po rozmowie z wujem leżała nieruchomo na łóżku. Stała w obliczu całkiem nowej sytuacji, kiedy potrafiła jednocześnie kogoś kochać i rozważać możliwość zabicia go.



- Odlóż tę spluwę. Trzeba było od razu tak mówić. Pomogę, a potem wszyscy razem pójdziemy do nieba. Nigdy mi się za bardzo nie podobało zdychanie w samotności.

Paul zabezpieczył browninga i zaczął go chować na miejsce, kiedy przed oczyma mignął mu zamazany kształt. Prawa pięść Tollivera wypadła do przodu i Rubenstein upadł na piasek. Zaczął sięgać po broń.

- Spokojnie, chłopie. To tylko dla wyrównania rachunku. Jeśli mnie zastrzelisz, nigdy nie znajdziesz ludzi z oporu.

I rumiana twarz Tollivera zmarszczyła się w uśmiechu, gdy wyciągnął do Paula prawą dłoń.

Rozcierając szczękę, Rubenstein spojrzał na większego od siebie mężczyznę i obaj wybuchnęli śmiechem.



powrotem ku Natalii. Wydało mu się, że dostrzegł niemal niezauważalne skinienie głową. Lecz mógł to być wytwór jego wyobraźni albo po prostu pobożne życzenie. Ponownie zaryzykował.

- Sissy, wszystko powinno być w porządku. Tylko mocno się postaraj przekonać generała, że to trzęsienie ziemi nie jest wymysłem. Nie przejmuj się - dodał.

Wówczas puścił jej rękę i ruszył naprzód. Żołnierze uformowali wokół niego szeregi. Kątem oka widział, jak dowódca oddziału oddaje jego Detonics'y generałowi Santiago. Natalia spojrzała na pistolety; jej wargi poruszyły się, gdy coś mówiła. Wówczas generał uklonił się i wręczył pistolety Natalii. Przyjęła je z uśmiechem i po raz pierwszy John usłyszał jej głos. Natalia śmiała się.



rozsądkowi i intuicji, niezależnie od zdania innych.

- Nie...- zaczął z roztargnieniem. - Nie. Oni nie będą się spodziewali ataku w dzień. Poza tym, chyba nie mamy czasu na czekanie. Pójdziemy wkrótce.

Rubenstein ciągle śledził obóz. Zastanawiał się, czy to “wkrótce” nie będzie za późno.



Gdy odrywała usta od jego twarzy, podniosła w górę magnum i przystawiła lufę do lewej skroni Kubańczyka.

- Jednak, generale, to wszystko prawda. A teraz zrobisz dokładnie to, co ci powiem, bo w przeciwnym wypadku twój mózg ozdobi za chwilę sufit nad tobą. Trzymam w ręku magnum 357 z jednym z najsilniejszych naboju w środku - 125-gramowe pociski Hollow Point. Znasz się na broni? Jeśli nie, to szkoda, ale testy przeprowadzone dla amerykańskiej policji wykazały, że są to prawdopodobnie najskuteczniejsze naboje do tego pistoletu. Chciałbyś się przekonać?

Santiago obrócił nieznacznie głowę, gdy patrzyła mu z uśmiechem w oczy.

- Oszukałaś mnie - powiedział.

- To powinno być oczywiste, nawet dla ciebie, kochanie - zaszcebiotała. - A teraz zadzwonisz, żeby przysłano tu pułkownika Mikłowa, natychmiast. Straże zaczekają na niego przed drzwiami. Jednak do tego czasu wydasz swoim dowódcom rozkazy zawarcia rozejmu. Rozkażesz również, aby nadano sygnał radiowy zezwalający na lądowanie samolotom U.S.II i radzieckim, a dowódcem liniowym, żeby rozpoczęli ewakuację ludności cywilnej. Łącznie z tym obozem koncentracyjnym w pobliżu lotniska. Wszystkich. I, mój drogi Diego, jeśli będziesz bardzo grzeczny, ty również będziesz mógł na koniec wyjechać, kiedy zrobią to wszyscy inni. - Spojrzała na Sissy Wiznewski i jakby mimochodem zapytała: - Ile czasu zostało?

- Generał... generał mówił, że przez ostatnie pięć dni występowały w okolicy drobne wstrząsy. Sądzę, że jest to kwestia kilku godzin, może nawet mniej.

Natalia uśmiechnęła się do dziewczyny, po czym zwróciła się ponownie do generała Santiago:

- Ze względu na twoje własne dobro, Diego, mam szczerą nadzieję, że zostało dosyć czasu. - Przycisnęła silniej wylot lufy magnum do jego głowy. - Wykonaj pierwszy telefon, kochanie.

## ROZDZIAŁ XLI

- Co się tam, do cholery, dzieje? - burknął Tolliver, padłszy na ziemie za pnem palmy. Rubenstein legł za nim ze Schmeisserem w prawej dłoni.

- Wygląda na to, że wychodzą z obozu. Ale czemu? Co się dzieje? - Rubenstein błędził oczyma po obozie. Ze swych posterunków biegli strażnicy, wśród nich również oficerowie. Paul spojrział w górę. Od zachodu niebo wypełniły samoloty o najprzeróżniejszych kształtach. - To amerykańskie samoloty!

- Komuchy używają tych, które znaleźli.

- Nie... Lecą ze wschodu, może z Teksasu albo Luizjany.

- Marzyciel z ciebie, chłopcze - mruknął Tolliver.

- Nie! Patrz, coraz ich więcej!

Warkot w powietrzu był bardzo głośny. Rubenstein nie słyszał nigdy czegoś tak hałaśliwego. Niebo było wypełnione samolotami, ziemia pociemniała od ich cieni. Wtem grunt zaczął drzeć, lecz tym razem gwałtowniej niż wcześniej.

Rubenstein wstał, strząsając z siebie próbującą go powstrzymać rękę Tollivera.

- To trzęsienie ziemi. Niektóre z samolotów lądują. - Popatrzył w dół ku obozowi, z którego uciekali kubańscy strażnicy i oficerowie, zostawiając za sobą otwartą bramę. - Ewakuują się. Będzie trzęsienie ziemi.

- Jesteś wariat, chłopcze.

Paul spojrział na Tollivera i już miał coś powiedzieć, ale w tym momencie grunt zatrzęsł się silnie i Rubenstein odskoczył w bok przed otwierającym się pęknięciem w ziemi, szerokim na osiemnaście cali. Zwaliło się drzewo palmy, o włos mijając Pedra Garcie i pozostałych partyzantów.

- Cholerne trzęsienie ziemi!

Jakby dla podkreślenia okrzyku Tollivera, grunt zaczął drzeć mocniej, tak mocno, że Paul Rubenstein runął na twarz w kurz gleby.

- O, mój Boże! - jęknął.





przelotnym spojrzeniem.

Nagle poczuli pod stopami, że podłoga zaczyna drżeć. Rourke zerknął na wysokie sklepienie, rozciągające się ponad drugą kondygnacją. Z roztargnieniem dostrzegł, że wisi tam kryształowy żyrandol, który właśnie w tym momencie zaczął się huścić.

Rourke odwrócił się, popychając Natalię z powrotem do korytarza przy schodach i osłaniając ją ciałem. Podłoga zatrzęsła się mocno i nastąpił huk podobny do eksplozji. John obejrzał się za siebie. Żyrandol uderzył w posadzkę rozbijając się.

Po chwili odezwał się wystrzał, głośny, choć stłumiony, a po nim przeraźliwy krzyk kobiety.

Natalia spojrzała w oczy Rourke'owi.

- To Sissy... Santiago! - krzyknęła i już biegła przez hall, przeskakując nad resztkami żyrandola.

Rourke ruszył za nią. Zatrzymała się przed podwójnymi drzwiami, prowadzącymi do gabinetu Santiago, po czym trzasnęła w nie lewym butem i drzwi rozwarły się. Rourke przepchnął się obok niej przez próg. Oboje zatrzymali się.

Pośrodku pokoju stała Sissy Wiznewski, z dłońmi przy otwartych ustach, z rozwartymi szeroko oczyma. Na podłodze obok niej leżało dwóch mężczyzn - jednym z nich był Miklow. Z jego piersi, tuż poniżej szyi, sterczał nóż. Drugie zwłoki należały do Santiago. John poznał to po mundurze, ale tylko po tym. W miejscu twarzy była krwawa, papkowata miazga. W jej środku widniało coś ciemnego, zapewne oko. Rourke nie miał pojęcia, co się stało z drugim okiem.



Wrócił z trawnika na zwirową alejkę, prowadzącą do żelaznych, okratowanych wrót na końcu. Drżenie ziemi było coraz silniejsze - czuł je, nawet jadąc ciężarówką.

Rourke sięgnął do włącznika wycieraczki. Deszcz zaczynał lać jak z cebra. Podwójne, żelazne wrota były kilka jardów przed nimi i John, wciskając sprzęgło, by zmienić bieg i nabrać prędkości, krzyknął do kobiet:

- Schylcie głowy, przebijamy się!

Do bramy pozostał jard, a podtrzymujące kolumny z cegieł zaczęły się kruszyć, gdy grunt przy alejce pękł, otwierając bruzdę. Rourke nadepnął pedał gazu, puścił, wciskając sprzęgło, zwiększył bieg i znów wdusił gaz. Pęknięcie z przodu rozszerzało się. Nie miał innego wyjścia, jak przez nie przejechać.

Poczuł, że przednie koła wpadły w szczelinę. Silnik ryknął i po chwili tylna gąsienica podskoczyła na nierówności. Wcisnął gaz do oporu. W chwili gdy przód pojazdu uderzył we wrota, cegły kolumn zaczęły się sypać, uderzając w kabinę. Przednia szyba pękła w poprzek na całej długości.

Brama rozwarła się i Rourke skręcił ostro w prawo, wjeżdżając na drogę biegnącą obok posiadłości. Zerknął w bok na Natalię. Jej włosy ociekały wodą z deszczu. Wychylała się przez okno, strzelając do ścigających ich Kubańczyków.

John ujrzał, że pęknięcie gruntu rozszerza się i biegnie teraz wzdłuż drogi, zdając się posuwać szybciej niż oni.

- Muszę wyprzedzić tę szczelinę! - krzyknął Rourke przez ryk silnika i wycie wiatru. - Natalia, schowaj się do środka!

Zmniejszył nacisk na pedał gazu i wrzucił "czwórkę". Silnik zawył. John zerknął w prawo. Zaczynał pędzić szybciej niż pęknięcie ziemi. Lecz w duchu zastanawiał się, czy zdąży je minąć, zanim przetnie drogę przed nimi i odetnie ich od jedynej szansy ucieczki - lotniska, położonego dziesięć mil dalej.

## ROZDZIAŁ XLIV

Sarah Rourke ledwie dostrzegała twarze swoich dzieci, Michaela i Annie, na rufie rybackiej łodzi. Były tam upchnięte wraz z Harmonem Kleinschmidtem, dwiema kobietami i kilkanaściorgiem innych dzieci. Sarah przekonywała, że od czasu ataku na radziecki obóz więzienny wyspa nie jest już bezpiecznym miejscem. Mary Beth, o dziwo, zgodziła się z nią.

Teraz Mary Beth stała za sterem ukradzonej kiedyś przez Sarah łodzi, kierując ją ku brzegowi. Sarah uśmiechnęła się ponownie na myśl, że nosi pożyczone ubrania. Przekonała kobiety, że najlepszym sposobem na dotarcie do więzienia i uwolnienie skazanych na śmierć mężczyzn jest wyglądać jak najbardziej nieszkodliwie. Stąd też większość kobiet miała na sobie teraz sukienki, niektóre - łącznie z nią samą - trzymały zawiniątka, mające wyglądać na niemowlęta. Wewnątrz tobołka Sarah znajdował się półmaszynowy pistolet MAC-10 kalibru 45. Pod długą po kostki spódnicą miała automatycznego colta "czterdziestkę piątkę", przymocowanego gumką do lewego uda.

Wyprowadziła łódź z zatoki przy pomocy Mary Beth i ośmiu innych kobiet, po czym popłynęły, z trudem pokonując wysokie fale przyboju i silny wiatr.

Od brzegu było dwie godziny marszu do miasta. Pod wpływem nalegań Sarah, kobiety rozdzieliły się na dwie grupy, żeby zwracać na siebie mniejszą uwagę i aby nie zniweczyć całej akcji w razie schwytania jednej grupy.

Teraz Sarah, kołysząc w rękach rzekome dziecko, znajdowała się w połowie drogi od bramy fabryki, zamienionej obecnie w więzienie. Spojrzała na pożyczony zegarek na przegubie. Jeśli jakiś sowiecki oficer nie zjawi się w ciągu pięciu minut, będzie musiała zrezygnować z planu "A", jak go nazwała, i odwołać się do planu "B". Ten drugi jednak wymagał od niej i reszty kobiet szturmu na bramę więzienia, a to byłoby samobójstwo.

Wciągnęła powietrze. W ulicę skręcił radziecki oficer z jakimś kadetem i zbliżali się ku niej. Zastanawiała się, czy starczy jej zimnej krwi. Nadal kołysząc na rękach zawinięty pistolet i śpiewając doń cicho, ruszyła w ich stronę.

Nie miała pojęcia, jaki stopień miał starszy mężczyzna, ale sądząc po wyglądzie, uznała, że ma wystarczająco wysoką rangę, aby jego życie było ważne. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Zatrzymała się kilka kroków przed oficerem i towarzyszącym mu żołnierzem.

- Proszę pana...

Oficer przerwał prowadzoną rozmowę, zatrzymał się i zwrócił ku niej twarz. Pokiwał







że Sowieci byli tam, na równoległych ulicach, czekając na swój ruch lub wzywając helikoptery, żeby prowadziły obserwację ciężarówki.

Teraz, po uwolnieniu z więzienia piętnastu partyzantów, poczuła, jak zbiera jej się na wymioty. Nie miała żadnego dalszego planu. Musiała liczyć na odwagę i szczęście.



A teraz Rubenstein obserwował pęknięcie gruntu na dole, śledził, jak pilot manipuluje sterami i gapił się na strugi deszczu. Zastanawiało go, czy zanim dotrze do Miami, w ogóle jeszcze będzie ono istnieć. Tam był Rourke, tam zostawił matkę i ojca. Nawet Natalia tam była, jak mu powiedział Reed.

Gdyby Rourke zginął, a on, Rubenstein, w jakiś sposób ocalał, wiedział, że miałby honorowy obowiązek kontynuowania poszukiwań żony Johna i dwójki jego dzieci.

Paul zastanawiał się, co zrobi, kiedy samolot wyląduje? Czy wyprowadzi Harleya Davidsona, którego Reed i pilot z niechęcią pomogli mu zabrać na pokład? Czy będzie w stanie znaleźć swych rodziców albo Rourke'a czy Natalie? A jeśli tak, to czy nie zginie wraz z nimi, kiedy trzęsienie ziemi doprowadzi do zapadnięcia się całego półwyspu pod wodę?

Po kręgosłupie Paula przebiegł zimny dreszcz. Lepiej byłoby umrzeć niż żyć, nie podjąwszy próby ratowania ludzi... Przerwał swe rozważania, poprawiając z uśmiechem okulary na nosie. "Ludzi, których kocham" - mruknął do siebie cicho.



- Chyba tam! - Lotnik wskazał centrum kontroli operacyjnej, kompleks niskich budynków o jakieś pięćset jardów dalej, bliższy wody poza lotniskiem niż pasów startowych.

Rourke ruszył biegiem, wołając przez ramię:

- Dziękuję!

Ale młody lotnik odwrócił się już i pomagał zabrać jakieś dziecko na pokład najbliższego samolotu.





przednia szyba była pęknięta, a na desce rozdzielczej widniała krew, lecz samochód pracował dobrze.

Miała cichą nadzieję, że majorowi uda się przeżyć.











- Trzymać się! Ruszamy!

Samolot ruszył w szalejącym wietrze, omijając zygzakami coraz szersze pęknięcia. Przygotowywał się do startu.

- Dobra, teraz albo nigdy! - wykrzyknął. Tuż na prawo od końca prawego skrzydła podniosła się ściana wody, a cała płyta lotniska zaczynała oddzielać się i sunąć do morza.

Rourke zwiększył obroty i samolot pędził dalej, przeskakując nad szczeliną i osiadając po drugiej stronie. John spojrział na prawo. Pas startowy był na wpół zanurzony, z przodu samolotu zaczęły podchodzić fale.

- Już! - krzyknął, podrywając maszynę i zwiększając gaz. Samolot wzniósł się nierówno. Pod spodem ryczała woda, gdy pas startowy osunął się w dół.

Z przodu wyłoniła się wieża kontrolna i Rourke szarpnął sterem, starając się przechylić samolot na prawe skrzydło, żeby jej lewym nie zawadzić.

- Módl się! - zawołał do Natalii, czując jej rękę na udzie, kiedy zakręcił ostro. Wieża kontrolna runęła na lewo, gdy cały budynek zaczął się walić.

Wyrównawszy lot, Rourke popatrzył w dół. W miejscu, gdzie przed sekundami była płyta lotniska, teraz szumiał ocean. Jak okiem sięgnąć rozciągał się bezkres wody.

## ROZDZIAŁ XLIX

Sarah Rourke z poślizgiem zatrzymała samochód. Hamulce miał kiepskie, ale przynajmniej dowiózł ją na wybrzeże. Wsiadając z auta, zobaczyła ruszającego ku niej spośród skał na plaży rybaka z dziećmi.

Przebiegła w poprzek zalanej deszczem szosy i opadła na kolana w błoto, by przytulić do siebie Michaela i Annie.

Podniosła oczy na rybaka.

- Dziękuję panu. Z nimi nie udałoby mi się wrócić.

- Wiem, proszę pani. A ten Kleinschmidt to porządny facet, ale chyba nie dla pani.

Hej...

“O co tu chodzi?” - pomyślała.

- Nie rozumiem.

- Pani ma na imię Sarah?

- Tak, ale myślałam, że pan... - Przerwała. Przysłała dzieci do tego miejsca z Mary Beth i nie widziała rybaka z odległości mniejszej niż kilkaset stóp.

- Po prostu, skojarzyłem to razem... panią i te dzieciaki. Sarah, Michael i Annie, tak powiedział.

- Kto? - Sarah skoczyła na nogi, odgarniając z oczu mokre włosy.

- Już go nie ma. Pojechał przez granicę do Teksasu, do kwatery głównej U.S.II. Miał tam jakieś zadanie. Nazywa się John Rourke. Szukał pani.

Sarah opadła z powrotem na kolana, tuląc do siebie przemoczone dzieci.

- Tata żyje!

Teraz po jej policzkach spływał nie tylko deszcz, lecz i łzy. Sarah Rourke spojrzała na rybaka.

- Kiedy zdobędę konie, jak daleko to będzie?

- Nie wiem, o co pani chodzi.

- Jak daleko jest do Teksasu? - Objęła znowu Michaela i Annie, nie słuchając odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ L

John Rourke stał na deszczu. Sprowadza samolot na ziemię, ponieważ paliwo było na wyczerpaniu. Na ile tylko potrafił to ocenić na podstawie map, wylądował około dwudziestu pięciu mil od kwatery głównej Chambersa i U.S.II.

Paul siedział w środku maszyny, rozmawiając z rodzicami. Pilot odszedł w poszukiwaniu jakiegoś środka transportu. Radio nie funkcjonowało dobrze z powodu zbyt silnych zakłóceń atmosferycznych.

Obok Rourke'a stała major Natalia Tiemerowna.

- Rozejm niedługo się skończy, John. Może już się skończył.

- Przynajmniej pokazaliśmy wszyscy, że wciąż jesteśmy ludźmi, prawda? - powiedział John cicho. Lewą ręką osłaniał swoje cygaro, prawą obejmował Natalię.

- Nadal będziesz prowadził poszukiwanie? - zapytała. -Tak.

- Dokąd planujesz jechać?

- Do Karoliny, może do Georgii, gdzieś koło Savannah. Prawdopodobnie tam się kierowała.

- Mam nadzieję, że ją odnajdziesz... i dzieci. Rourke popatrzył na Rosjankę. Deszcz spływał strugami po jej twarzy - tak samo jak po jego.

- Dziękuję, Natalio.

Kobieta uśmiechnęła się, po czym spuściła oczy. Stała obok Rourke'a w lejących się z nieba strumieniach deszczu.